

WACŁAW LIPIŃSKI



WŚRÓD
WOWSKICH ORLĄT

WARSZAWA 1931

WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO-WYDAWNICZY

J. Miller

WŚRÓD LWOWSKICH ORŁAŃ

WACŁAW LIPIŃSKI

WŚRÓD
LWOWSKICH ORLĄT

WYDANIE DRUGIE

WARSZAWA 1931
WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO - WYDAWNICZY



WSPRÓD
CM 313723

Wszelkie prawa przekładu i przedruku zastrzeżone.

Zakł. Graf. „Drukarnia Bankowa”.
Warszawa, Moniuszki 11, tel. 790-93.

Wpisano do Księgi Akcesji
Akc. D1 nr 132 /2011/ CM

*SYNKOM MOIM
POŚWIĘCAM*

SPIS RZECZY.

Wstęp	1
Zerwane kajdany	4
Rezolucje i programy	12
W Domu Techników	18
Walka o dworzec główny	27
Śladem pozycji i reduct	33
W murach Kadeckiej Szkoły	40
Pod blankami Cytadeli	46
Na punkcie opatrunkowym	56
Wśród granatów i miotaczy min	60
Przysięga	67
Odsiecz piątaków	74
„Gdzie Twe sokoły, Komendancie”.	82
W swym dawnym pułku	88
Wypad z Jagiellońskiego Gródka	94
Pod starym lasem Winnik	100
W zimowe, białe noce	106
We dworku na Pohulance	115
Wśród głuchych ulic	121
Coraz ciężej i trudniej	126
Placówka w Krzywczycach	130
„Co użyjem to dla nas”	139
A Lwów trwa	144

W S T Ę P.

Wspomnienia niniejsze, które oddaję do rąk czytelników — są wspomnieniami, spisanymi na podstawie dziennika, prowadzonego od dnia 1 listopada 1918 roku do połowy marca 1919 roku. Jak wiadomo, ciężki ten i wspaniały zarazem w swem pięknie okres, w którym po raz pierwszy od dziesiątków lat żołnierz narodowej armji począł bagnetem swym zakreślać granice na nowo do życia wracającego państwa polskiego, jest zarazem okresem ciężkich, mozolnych i tragicznych bojów o kresowy Lwów. Znienacka opanowane miasto bronić się zaczęło samo, samo chwyciło za broń, by krwią najmłodszych swych synów zadokumentować raz jeszcze przed Polską i światem, do czyjej ziemi należy, jak silnemi i nierozzerwalnemi z wielką swą ojczyzną zespolone przez długie wieki zostało węzłami.

Bronili Lwowa sami jego mieszkańcy. Przez niezwykle ciężki, 22-dniowy okres czasu, od 1 do 22 listopada 1918 roku, póki nie wyzwoliła miasta grupa odsieczowa, przez pułkownika Karaszewicza-Tokarzewskiego dowodzona, toczyły się krwawe zmagania na ulicach Lwowa, w różnych jego punktach, wśród domów mieszkalnych, wśród okien i bram, z twardym uporem męstwa, miłości i rozpaczliwie prowadzone. Niesposób było w tych warun-

kach objąć całości walk, wszystkie ich fazy i koleje skrętnie zanotować w podręcznym notatniku. W wolnych od służby chwilach, w momentach oddalenia od bezpośredniej linii ognia, zaledwie szkic tego, co w najbliższym promieniu się działo, można było utrwalić, od czasu do czasu z wiadomości tylko ubocznych zdołało się objąć nieco obszerniejszy teren ówczesnego, lwowskiego frontu.

Wskutek tego, nie znajdzie czytelnik w tych wspomnieniach opisu wszystkich faz akcji bojowej, nie znajdzie wielu nazwisk, ni wielu wspaniałych nieraz momentów, nie znajdzie tego, coby mu jasny i przejrzysty dało obraz całości obrony Lwowa. Siłą bowiem rzeczy dowódca plutonu czy kompanji wiedzieć może tylko to, co najbliższych jego sąsiadów się tyczy, wiedzieć może o akcji w najbliższem tylko otoczeniu się rozgrywającej. Stąd wąskość tego promienia, jaki na okres obrony Lwowa rzucam, stąd niedostateczność pamiętnikarskich relacyj.

Niemniej, we wspomnieniach swych, obserwując je bacznie i skrętnie, notując fakty mi znane, starałem się wiernie oddać to, co bezsprzecznie tych walk jest stroną interesującą i wartości pełną. Tą najbardziej wartościową, najbardziej interesującą stroną lwowskich walk, jest ich charakter, ich odmienny zgoła od wszystkich innych walk koloryt i styl. Podkreślić ten koloryt, oddać jak najbardziej wiernie charakter, psychikę oraz nastrój bohatercko walczącego miasta i jego obrońców — stało się mojem zamierzeniem, a czy się z tego wywiązałem, nie do mnie należy sąd.

Na zakończenie tych kilku słów mego wstępu, chciałbym zaznaczyć to, co nurtowało i we mnie, i wśród innych obrońców Lwowa, i co z równą dotychczas siłą nurtuje w wielu polskich, a zapewne i ukraińskich sercach.

Nikt z nas, obrońców Lwowa, nie chciał, nie życzył sobie walki z Ukrainą. Dwa narody, polski i ukraiński — przez tyle wieków w najbliższym sąsiedztwie i w stosunkach najbliższych ze sobą żyjące — mogły i muszą prędzej czy później dojść do wzajemnego porozumienia, do wzajemnego bliskiego a serdecznego ze sobą współżycia. Jest ono zakreślone zarówno dziejową linią zdarzeń, jak i wypływa ze stosunków politycznych, kulturalnych i gospodarczych. Zdajemy sobie sprawę z tego my, Polacy, i zdają sobie jaśniej patrzący w przeszłość synowie Ukrainy. Że tedy dzisiaj, po latach dziewiciu, jakie nas od lwowskich dzieł walk, niepotrzebnie rozrywam, zda się, gojące się rany, — nie czynię tego ani ja, ani wydawcy tej książki w tem właśnie znaczeniu. Nie by jątrzyć rany i dzielić, nie by wspominać okres wzajemnych walk, wydana została ta książka, lecz, aby zarówno synom Ukrainy, jak i synom Polski, jasno raz jeszcze przedstawić to, co istotną prawdą i niezłomnem prawem każdego jest człowieka i każdego ludzi zbiorowiska: niech będzie tym, czem się czuje, niech sam o sobie stanowi.

A że aż nadto dobitnie o woli swej i uczuciach przemówił Lwów w krwawych miesiącach walk, niech dokumentem wiernym i prawdziwym staną się te krótkie, żołnierskie wspomnienia.

Autor.

ZERWANE KAJDANY.

Szary, mglisty poranek ostatniego dnia października 1918 roku. Niepogaszone jeszcze światła latarni miejskich otaczał żółto-siwy krąg wilgotnej mgły, która nisko, coraz niżej opadając, powlekała ulice ckliwą, lepka wilgocią.

Na ciasnym, brudnym dworcu krakowskim, zamieszanie i przepychliwy tłok panował jeszcze większy niż zazwyczaj. Z poobijanych, pozatykanych deskami, poobrywanych wagonów, wysypywał się co chwila szary, żołnierski tłum. Fala mundurów, wchłonięta przez zabłocony dworzec, kolebała się, to tu, to tam, na podobieństwo mętnych, jesiennych wód. Walizki, skrzynki, wypchane plecaki, którymi obładowani byli ci obdarci, wynędzniali żołnierze, górowały nad poziomem czapek i żółtych bączków, a dziwny, niespokojny pośpiech, nerwowy zgiełk szumiał wśród tej mętnej, wyniszczonej masy, tłumami wracającej z rozlicznych frontów rozpadającej się monarchji austriackiej.

Stoję w wagonie pośpiesznego pociągu wraz ze Stachem Hillerem¹⁾ i przez otwarte okno wpatrujemy się w tłum, wsłuchujemy się w huczący pogłos i rumor ludz-

¹⁾ Dr. med. Stanisław Hiller, kapitan rezerwy.

kiego tłoku, stokrotnie zwiększony pod oszklonym dachem dworcowej hali. Co chwila huk, wtaczającego się pod halę nowego pociągu, regularny, pełny drżącej a skrępowanej mocy oddech naszej lokomotywy, czekającej na sygnał trąbkowy do odejścia, rozgłosny hurkot i głucho dudnienia przetaczanych wózków bagażowych, jękliwy ton stalowych kół, uderzanych młotkiem mechanika, przepychające się pośpiesznie tłumy żołnierskie — wszystko to razem i nas wprawiało w pewien nastrój nerwowy i pełen niepokoju.

Tak szybko zdecydowaliśmy się na wyjazd. Dwa dni temu otrzymaliśmy wiadomość, iż I-szy, ogólno-akademicki zjazd we Lwowie odbędzie się na pewno, i że krakowskie ugrupowania „Znicz“ i „Organizacja Młodzieży Narodowej“ postanowiły swoich reprezentantów na zjazd wysłać. Po wielu konferencjach stanęło na tem, iż „Organizację Młodzieży Narodowej“ reprezentować będzie kolega Lipczyński¹⁾, „Znicz“ zaś — Stach Hiller i ja.

Czekaliśmy teraz na spóźnionego Lipczyńskiego, denerwując się i jego nieobecnością i tem, czy aby do Lwowa dojedziemy.

Nadzieje bowiem były niewielkie. Od kilkunastu dni dla najbardziej nawet powierzchownego obserwatora jasnym było zupełnie, iż katastrofa państw centralnych zbliża się z nieubłaganą koniecznością, z dnia na dzień, z godziny na godzinę.

Stara Austrija konała. We wszystkich krajach koronnych, w całej monarchji panował nieopisany, potworny wprost zamęt. Nieomal dotykalnie, zmysłowo czuło się, jak całe to rusztowanie wojskowo - policyjne, podpierające gmach państwowy, przeraźliwie trzeszczy we wszyst-

¹⁾ St. Lipczyński, zginął na froncie w 1919 roku.

kich swych wiązaniach, że monarchja Habsburgów runie lada chwila, lada moment.

W Krakowie ów stan rozkładu i wewnętrznego rozprężenia odczuwać się dawał najwyraziściej. Od chwili rozbicia Legjonów, przez drugą połowę 17-go roku i cały rok 18-ty tu się wykuwała, jak w latach przedwojennych myśl i czyn polskiej niepodległości. Tu pod nieobecność uwięzionego komendanta Piłsudskiego — miał swą kwaterę pułkownik Rydz-Śmigły¹⁾, stojący na czele Komendy Głównej Polskiej Organizacji Wojskowej, tu na ulicy Florjańskiej, w ciasnym lokalu tygodnika „Kultura Polska“, skupiały się wszystkie nici związków, sprzysiężeń i organizacji, uparcie się szykujących do nowych, ostatecznych już walk. Tu się zaopatrywali w paszporty, w instrukcje, w cywilne ubrania, zjeżdżający się z włoskiego frontu i z obozów jeńców legjoniści, stąd rozjeżdżali się na „robotę“ po obu okupacjach, po Galicji, na kresy, na Ukrainę, a nawet daleko w głąb Rosji. Po wszystkich zakątkach całej Polski organizować mieli P. O. W., tworzyć cichcem zbrojne oddziały, jednoczyć rozproszone wysiłki, chwytać wszystko w swe ręce, by na dane hasło, w jednym momencie, uderzyć niezawodnym ciosem w okupantów.

Ostatnie dni października 1918 r. przeżyłem jak we śnie. Szalony ruch, zbiórki, instrukcje, posiedzenia — podniecały do gorączki. Lada godzina miał nastąpić zamach na władze cesarsko-królewskie i objęcie austriackich obszarów w polskie posiadanie.

Przygotowywany zamach nie stanowił już żadnej dla nikogo konspiracji. Oddawna już przestał być spiskiem uknutym przez kilku tylko ludzi i przez garść wykonywa-

¹⁾ Edward Śmigły-Rydz, obecny generał dywizji, inspektor armji.

nym. Zamach miał być faktem, z którym, jako z koniecznością nieodpartą pogodzić się musieli Austriacy, miał być faktem, który uznany został jako całkiem logiczny i naturalny wynik wielkiej wojny. Stara Austria schodziła do grobu bez godności, bez najmniejszej próby oporu, bez protestu i dążności do życia, które wiodła przez tyle stuleci. Uwiad starczy pozbawił ją sił do tego stopnia, że gasła przez nikogo nie żałowana, jak gaśnie ten, którego oddawna spodziewana śmierć nikogo już nie dziwi i nie wzrusza.

Noc ostatnia zbiegła mi na nieustannej bieganinie po mieście. Gdy wpadłem wreszcie nad ranem na Gołębią — tam już zbiórka była kompletna. Zadymione pokoje nabite legjonowemi szarżami. Piec podpierał por. Dobrodzicki¹⁾, „Gadem“ pospolicie zwany i nerwowo miętosząc swą brodę, bryzgał naogół jadem swych sarkastycznych słów, choć paliły mu się w oczach tajone błyski radości i wzruszenia. Byli tu sami starzy oficerowie i podoficerowie legjonowi, już pod płaszczami cywilnymi przybrani w swe dawne mundury. Na dany znak każdy z nich miał biec ku swej wyznaczonej robocie, na oznaczony odcinek warsztatu.

Czekali wszyscy od późnych godzin wieczorowych, a choć dzień prześwitywał przez okna i czerwone mury „Collegium Novum“ coraz bardziej wyłaniały się z pomroki nocnej — konferencja kpt. Stachiewicza²⁾ z Roją³⁾ i matadorami cywilno-wojskowemi snadź jeszcze się nie skończyła. Co chwila dudniły schody i ktoś wpadał roz-

¹⁾ Artysta malarz Adam Dobrodzicki, major rezerwy.

²⁾ Juljan Stachiewicz — obecnie generał brygady, szef Wojskowego Biura Historycznego.

³⁾ Bol. Roja — generał dywizji w stanie spoczynku, były dowódca 4 pułku piechoty Legjonów w czasie wojny światowej.

gorączkowany i pełen emocji, zjawieniem swoim wywołując wrzask zapytań. Lecz „jeszcze nic“ — było stałą odpowiedzią...

Po krótkiej konferencji władze Naczelnej Nr. 2 Komendy P. O. W., postanowiły, że muszę do Lwowa jechać. Pierwszy zjazd młodzieży akademickiej z całej Polski zbyt ważnym był zdarzeniem w momencie, kiedy wszystkie siły zmobilizować należało do akcji, by pozostawić go bez obsadzenia. To też po otrzymaniu instrukcji, pliku rozkazów dla porucznika de Laveaux¹⁾, komendanta P. O. W. we Lwowie — klusem pobiegłem na dworzec.

Oczekiwaliśmy teraz na Lipczyńskiego, podnieceni wyjazdem w tak przełomowej chwili, z minuty na minutę niecierpliwiąc się coraz bardziej. Wreszcie przed samym odjazdem wpadł maruder.

Mknęliśmy na wschód. Pośpieszny pociąg idący w tę stronę nie był zbyt zapełniony tak, że wygodnie obsiedliśmy przedział, rezygnując jednak, z powodu zbyt wielkiego zmęczenia, z rozmowy. Jedyнным tematem, jaki nas w przerwach między snem żywo interesował, była kwestja, czy dojedziemy do Lwowa. Dochodziły stamtąd wieści o spodziewanym zamachu ukraińskim, lecz kolejarze uspakajali nas niezmiennie, że dojedziemy na pewno.

Jakoż bez przeszkód stanęliśmy o 3-ej po południu na olbrzymim dworcu lwowskim. Panował tu ruch większy jeszcze niż w Krakowie. Pierwszy raz będąc w tym mieście, rzucałem ciekawe wokół spojrzenia, lecz zadeszczony i mglisty dzień powlókł ulicę Lwowa zupełną prawie ciemnością. Tramwajem zajechaliśmy do domu akademickiego, gdzie odbyć się miał zjazd.

¹⁾ Ludwik de Laveaux — obecnie pułkownik dyplomowany.

Krótkie przedstawienie się w Komitecie zjazdowym, upoważnienia, pisma i oddano nas w ręce kwatermistrzów.

Odkomenderowano mnie do koleżanki Bujwidówny¹⁾, która przerwawszy zwykle w tych razach komunały grzecznościowe, a dowiedziawszy się com zacz i co reprezentuję, z ferworem opowiadać poczęła o nastrojach przedzjazdowych, o sytuacji we Lwowie w związku ze spodziewanym zamachem ukraińskim, o przygotowaniach, zbrojeniach i tak dalej i tak dalej, czego cierpliwie wysłuchiwałem po drodze na przeznaczoną mi kwaterę.

— P. O. W. ma dzisiaj mobilizację. Cieszę się okropnie z tego zamachu — kończy koleżanka — bo wreszcie może zobaczą prawdziwą wojnę. Jeżeli ma pan jakie papiery do porucznika de Laveaux, to on będzie wieczorem w domu akademickim, gdzie ma się odbyć mobilizacja. Tam będzie można je oddać...

Weszliśmy do bramy. Stanać mam u pp. Merunowiczów. Pan Merunowicz, były poseł do parlamentu wiedeńskiego i sejmu galicyjskiego — objaśniała mi koleżanka, naciskając dzwonek — okrutnie zacny staruszek i jeszcze zacniejsza jego żona...

Miast spodziewanej starszej pani ujrzałem nowy egzemplarz koleżanki, srodze czarnej i smagłej.

— Koleżanka Hołubianka²⁾ — kuzynka pp. Merunowiczów.

Bąknąłem nazwisko i anim się obejrzał, jak siedziałem przy stole w towarzystwie już powiększonym o prześlizny typ polskiej matrony, p. Merunowiczowej. Między jedną kromką a drugą — dowiadywałem się resztek lwowskich historyj, które cokolwiek oszałamiały mnie, nie ze

¹⁾ Helena z Bujwidów majorowa Jurgielewiczowa.

²⁾ Zofja z Hołubów rotmistrzowa Pacewiczowa.

względu jednak na ich treść, lecz na szybkość informacyj, których obydwie koleżanki mi nie szczędziły ani na moment. Opowiadania o temperamencie lwowian i lwowianek aż nadto były usprawiedliwione...

Coś przed 8-mą znaleźliśmy się zpowrotem w domu akademickim. Schody, korytarze, wszystkie pokoje pełne uzbrojonych ludzi. Mannlichery, mausery, granaty ręczne, krzyki komendy, wołania. Nastrój wybitnie wojenny, ostatnie przygotowania z nieodłącznym harmidrem, wrzawą, szubieniczną wesołością i humorem — pannał tu wszechwładnie. Za chwilę w osobnym pokoiku doręczyłem wysokiemu, wiotkiemu porucznikowi de Laveaux, opiętemu w obcisłą, krótką kurtkę, rozkazy Komendy Naczelnej. Lakoniczne informacje o sytuacji w Krakowie, szybki przegląd papierów...

— Jak widzicie, u nas „ruch w interesie“. Spodziewamy się dzisiaj zamachu ukraińskiego — informuje de Laveaux — lecz niestety my tylko jedni w to wierzymy.

Zmęczona twarz porucznika oddawała całą sytuację, która nie musiała być pomyślna, mimo widocznych przygotowań.

— Trudności szalone — mówił dalej — niema do tej pory skoordynowanej akcji ani porozumienia nawet wszystkich tutejszych czynników wojskowych. Czy sami podołamy, wątpię, a zresztą choćby nastąpiło porozumienie, już będzie za późno. Są niezbite wiadomości, że jeżeli nie dzisiaj w nocy, to jutro najpóźniej Ukraińcy dokonają zamachu...

Oświadczenie komendanta P.O.W. kładło kres nadziejom, jakie żywiłem, że sytuacja nie jest tak zła. Wszystko wskazywało na to, że nasz zjazd akademicki w istotnie gorącej będzie się odbywał atmosferze.

Odłożyliśmy jednak na jutro zasadniczą konferencję, gdyż na sali szykowano się już do otwarcia zjazdu.

Długi stół w czytelnicy, pięknie zastawiony. Wokół gwar głosów, wzajemne przedstawiania się, konwentykle. Zjazd nadspodziewanie liczny, reprezentowane są wszystkie środowiska uniwersyteckie, szczególnie licznie dopisała młodzież warszawska. Z warszawskiej młodzieży postępowej jest Denhoff-Czarnocki¹⁾, Brunner²⁾, Makowiecki³⁾ — tłumnie zjawiała się również młodzież pravicowa.

Siadamy wreszcie z rumorem krzeseł do stołu. Zabiera głos gospodarz. Wśród ciszy, która nagle zapanaowała między spokojnymi, opanowanymi zdaniem powitalnego przemówienia — rozlega się z sąsiedniego pokoju zgrzyt ładowanej broni i krzyki wojskowej komendy.

Zaczęły się odpowiedzi i wzajemne komplementy pierwszego, inauguracyjnego posiedzenia zjazdu akademickiego...

¹⁾ Wacław Denhoff-Czarnocki, kapitan rezerwy, zmarł w kwietniu 1927 roku.

²⁾ Wacław Brunner, porucznik rezerwy.

³⁾ Jerzy Makowiecki, porucznik rezerwy.

REZOLUCJE I PROGRAMY.

Obudziło mnie gwałtowne pukanie do zamkniętych drzwi.

— Panie kolego, panie kolego! — dochodził zdenerwowany, podniecony głos z sąsiedniego pokoju — proszę natychmiast wstawać — Ukraińcy zajęli miasto...

Jednym skokiem znalazłem się poza łóżkiem. Gdy alarmowemi chwytami wdziewałem ubranie, wiadomości o zajęciu miasta sypały się z poza drzwi urywanym stylem wojennego komunikatu. W nocy zajęto ratusz, sejm, pocztę, na mieście samochody pancerne...

Rzucałem pytania, które plątały mi się z krawatem i grzebieniem. Tak — na mieście strzały, walka...

Za chwilę byłem gotów — jeżeli tak można ocenić dwuminutowe wrzucanie się w garderobę — i stanąłem w drzwiach. Krótki uścisk ręki — koleżanka była już ubrana — i pędem zbiegamy ze schodów, nie słuchając zdesperowanego wołania zacnej pani Merunowiczowej o konieczności śniadania.

Do domu akademickiego mieliśmy kilkanaście kroków. Na placu Akademickim stały gęsto porozrzucane gromady ludzkie, zgorączkowane, podniecone, kłębiące się pod murami i przy bramach kamienic. Szybko je

wymijając, znaleźliśmy się za chwilę we wczorajszej sali posiedzeń.

Tam już było pełno. Jedną myślą powodowani zebrali się tu wszyscy uczestnicy zjazdu. Brakowało jeszcze tego czy innego, za chwilę przybędą, za chwilę rozpocznie się posiedzenie i zapaść ma decyzja o stanowisku zjazdu, reprezentującego całą polską młodzież akademicką, wobec ukraińskiego zamachu.



Plac Akademicki.

Nikt się nie rozbierał, wszyscy pozostali w płaszczach, z laskami w ręku. Pomieszała się przedstawiciele ugrupowań, związków, korporacji. Nowiny co kilka sekund goniły jedna za drugą, drzwi z trzaskiem pękały co chwila...

Gdzieś zdaleka dolatywały pojedyncze i urywane strzały, gdy naraz gruchnął strzał tuż na placu. Skoczyliśmy do okien, rozerwanych jednym pchnięciem.

Plac Akademicki nadal pełen ludzi. Z jednego tylko kąta, opustoszałego w jednej chwili, jakby wymiecionego do czysta nagłym podmuchem wiatru — leżał człowiek w mundurze, z czarną plamą krwi. Prawie powolnym krokiem oddalał się odeń uczeń gimnazjalny z przewieszonym przez ramię karabinem.

Za chwilę znikł w tłumie, który poruszył się nagle i zakłębił, gdyż w tym samym momencie przemknęło wyłotem ulicy pełne zbrojnych żołnierzy pancerne auto.

Wielka żółto-niebieska chorągiew drgała w powietrzu, szarpana porywistym pędem wiatru...

Zkolei rzuciliśmy się wszyscy nadół ku bramie. Stamtąd leciał już głos napół zdumiony, napół przerażony: — Ukraińca... oficera... nie chciał oddać broni... student...

A więc już się zaczyna. Strzały, które od czasu do czasu nagle i niespodziewanie wybuchały w różnych stronach, świadczyły o epizodach, jakich przed chwilą byliśmy świadkami. Ktoś się broni, ktoś nie uznaje nowej władzy...

Tymczasem świeże wiadomości poczęły się mnożyć w miarę śpiesznego posuwania się dnia. Strzały nie padały już pojedynczo; od północno-zachodniej strony miasta dochodziły nieregularną trzepanią, gęstniejącą coraz silniej w miarę zbliżania się nocy.

Na górze zebrani już byli wszyscy uczestnicy zjazdu. Zagaił nieco roztrzęsionym głosem kolega-przewodniczący, lwowianin, streszczając pokrótce sytuację i jej rozwój. W miarę trwania przemówienia — podniecenie zebranych wzrastało, niecierpliwość niby łuk napinała się coraz silniej. Mówićby pragnęli wszyscy, powstrzymując się jeno cugłami parlamentarnych obyczajów, które każdy surowo pragnął zachować tem bardziej, im bardziej

ponosiła go gorączka chwili. Wreszcie zkolei poczęły padać deklaracje, na „chycika“ ołówkiem wypisane, jedna gorętsza od drugiej.

Tak czy inaczej motywowane — wszystkie godziły się na jednym punkcie. Lwowa należy bronić, bez walki oddać go nie można, przedstawiciele całej młodzieży polskiej oddają się do dyspozycji tych, którzy walkę o miasto poprowadzili, względnie poprowadzą...

Jeden tylko Wacek Brunner, przedstawiciel warszawskiej Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej złożył deklarację wręcz odrębną. Stanął na stanowisku, które było bombą o największym kalibrze. Młodzież Niezależna staje na stanowisku przynależności Lwowa do Ukrainy...

Deklaracja „Niezależnych“ rozżarzyła dyskusję do białości. Dziw, że nie padały w niej słowa złe i kąśliwe. Zasadniczość teoretyczna i formalna stępiła zatrute ostrza dyskusji, gruchot niedalekich strzałów i niedawny widok rzeczywiście przelanej krwi — ważył na słowach, które tak rychło trzeba było realizować.

Wreszcie, gdy wszystkie już deklaracje odczytano i dyskusję nad nimi zamknięto — zwarło się pytanie, co należy czynić, by przetworzyć gorące słowa w suchy trzask karabinów. Wśród wielu rad padła najprostsza, byśmy „in corpore“ zjawili się na pierwszym lepszym, zapewne już zorganizowanym punkcie oporu.

Zabrał głos i Wacek Brunner. Spoglądano nań niechętnie i z podołba, lecz po kilku minutach coraz pilniej słuchano, co mówi. Z poza szkieł padało jego jasne spojrzenie, uzbrojone w zuchwałą odwagę stawiania tez przeciwnych wśród tych, którzy chcą Lwowa bronić. Lecz z wysokiego, hardego tonu przemówienia poczęto wreszcie wysnuwać wątek wniosku, który dla wielu był zrazu całkiem niepojęty. Gdy stawał się coraz jaśniejszym,

wyrazistszym, wreszcie zupełnie pewnym — przerwał Brunnerowi rumor odstawianych krzesel i gwar, który wbrew regulaminowi obrad buchnął naraz ze wszystkich stron. Z wyciągniętymi dłońmi cisnęli się doń uczestnicy zjazdu.

Okazało się bowiem, że teoretyczne i zasadnicze postawienie kwestji przynależności Lwowa do Ukrainy w myśl zgłoszonej deklaracji „Niezależnych“ nie przeszkadza Brunnerowi pójść solidarnie wraz z całym zjazdem do walki o Lwów, skoro zjazd tak postanowił. To też nie pozwolono dokończyć przemówienia, jeno ściskano mu łapsko ze wszystkich stron.

Dzwonek przewodniczącego pracował bez wytechnienia: proszę kolegów o spokój, o nieopuszczanie miejsc, o nieprzerywanie dyskusji...

Uciszyło się wreszcie nieco i stanęło wkońcu na tem, by zjazd wysłał swoich przedstawicieli do utworzonej już w ciągu dnia Komendy Naczelnej, organizującej obronę Lwowa i komendzie tej oddał się do dyspozycji. Wydelegowano nas czterech, samych Wacków: Drozdowskiego, barczystego i jurnego przedstawiciela warszawskiej Młodzieży Narodowej, Denhoffa - Czarnockiego, Brunnera i mnie.

Wieczór późny już zapadł, gdyśmy wyszli z domu akademickiego. Mimo surowych plakatów ukraińskich o stanie wojennym — miasto nie miało bynajmniej tego charakterystycznego, wylękłego widoku, jaki przybierają zwykle miasta, gdy na ulicach dudni krok patroli a w mrocznych jego głębiach rozlega się tętent końskich kopyt. W kawiarniach tłumy, na ulicach tłumy, zewsząd grupy i grupki roznamiętnione, rozgorączkowane tem silniej — im silniej nastąpiło upokorzenie Lwowa przez nagłe jego, nocne zajęcie.

W ciągu dnia bowiem walki rozgorzały już poważnie. Stary legjonista Tatar-Trzeźniowski¹⁾ już w rannych godzinach dnia zorganizował w szkole Sienkiewicza pierwszy punkt oporu. Stoczył już zwycięską walkę, zajmował ulicę po ulicy, obszar swego panowania rozszerzał z każdą chwilą. Ilość jego podkomendnych rosła z minuty na minutę, z bronią i bez broni co chwila napływali nowi ochotnicy, a po południu już i technicy z ulicy Issakowicza rozstawili placówki na przyległych ulicach. Cała zachodnio-północna strona miasta trzęsła się pod wieczór od karabinowego ognia...

Szliśmy szybkim, podnieconym krokiem do kwatery Komendy Naczelnej, utworzonej w ciągu dnia. Tam, po krótkim zameldowaniu się, przeznaczeni zostaliśmy do domu techników.

Wracamy z ulgą w sercach. Zostało tylko jedno do wykonania: jak najszybciej dostać się na Issakowicza, do Domu Techników. Wiadomość tę zakomunikowaliśmy oczekującym nas niecierpliwie uczestnikom zjazdu — jutro zbiórka. Narazie wraca każdy na swą kwaterę.

Późnym już wieczorem wracałem do domu pp. Merunowiczów. Przyjęli mnie z radością, troskliwie zafrasowani całodniową moją nieobecnością. Nie przedłużając jednak rozmowy — wymanewrowałem się jak najspieszniej do swego pokoju, by kropnąć się na łóżko. Pierwsza maksyma starego żołnierza — wyspać się dobrze przed spodziewaną robotą. Na jutro trzeba być wypoczętym, przygotowanym, wyspanym — do wzięcia udziału w tym stworzonym dzisiaj, nowym rozdziale historii Lwowa i Polski...

¹⁾ Podpułkownik Trzeźniowski, zmarł w r. 1922.

W DOMU TECHNIKÓW.

Trzask ognia karabinowego dochodził ze wszystkich stron. W kierunkach jego trudno się było zorjentować, gdyż chwilami głucho pacały manlichery lub ogień porywistym dudnieniem karabina maszynowego, wżerał się w ciszę, by za chwilę, z niewiadomo której strony ostrym, jazgotliwym tonem bić po ulicach.

Przedzieraliśmy się po kilku do Domu Techników prowadzeni przez lwowian. Naszą grupkę krakowską prowadziła koleżanka Hela Bujwidówna. Lawirując wśród ciemnych, zrzadka oświetlonych ulic — to wpadaliśmy do jakichś kawiarni, ogromnych, prawie pustych, z poskładanymi w wielkie rusztowania krzeselkami, to wciskaliśmy w głębie bram, gdy wymagały tego „strategiczne“ okoliczności. Wreszcie po kluczeniach, zawracaniach i obejściach spotkaliśmy się oko w oko z placówką.

— Stój, kto idzie!...

— Swoi, Polacy do Domu Techników...

Grupka uzbrojonych ludzi zbliżyła się ku nam. Cywile w zimowych paltach, inni w połowie w mundurach, ubrani jak kto chciał i mógł. Czerwono-biała opaska na ramieniu, wszystko srogo uzbrojone w broń i granaty. Dwóch mikrusów z czwartej może klasy gimnazjalnej pętało się przy swoich karabinach.

Po krótkiej informacji skąd, dokąd, poco i naco — sytuacja została wyjaśniona. Jeszcze jedna ciemna ulica, skręt, zaułek, jakieś płoty i stajemy przed wielkim budynkiem, napęczniałym ludźmi, rozkrzyczanym bałaganem, który trudno opisać.



Dom Techników (ul. Issakowicza). Miejsce organizacji i postoju I odcinka obrony Lwowa.

Dom Techników na ulicy Issakowicza...

Zwożono właśnie karabiny. Z dwu wozów wojskowych, do pełna naładowanych manlicherami, rozdrapywano chciwie karabiny, wnoszono je do parterowych sal, na korytarze, rozdawano napierającym się to brakujące bagnety, to rzemienie. Skrzynki z amunicją karabinową leżały tu stosami, przeważnie już jednak puste.

Przez nikogo nie zatrzymani — wchodzimy na piętro, szukając jakiejś „władzy“, jakiejś komendy. Wśród

mnóstwa kręcących się oficerów z austriackimi czapkami o pozrywanych bączkach, wskazano nam nerwowo rozprawiającego, niskiego oficera z czarną, pokaźną brodą. Por. Bujalski, komendant Domu Techników.

Wnet nas zagarnięto do roboty. Z napływających co chwila uczestników zjazdu utworzono pluton, którego komendę objął legjonista, beliniak — por. Dzieduszycki, zadzierzysty, klnący ustawicznie i niewiarogodnie ruchliwy oficer. Nas kilku, którzy „starą“ wojnę mieli za sobą — porozdzielano do różnych pilnych, a gwałtownych funkcji. Stacha Hillera „zaamcono“ do sanitarijatu, który tu już nie próżnuje, Denhoff-Czarnocki ma objąć zorganizowanie linii placówek wzdłuż utworzonego w ciągu dnia prowizorycznego odcinka, mnie przydzielono do por. Bujalskiego z funkcją adjutanta bojowego, przez którego z braku telefonu nawiązywano łączność z poszczególnymi grupami i odcinkami.

Narazie jednak węższymy za jakąś kwaterą, co przychodzi nam z dużą trudnością, jako że Dom Techników nabitý już został ludźmi od piwnic do strychu. Z pomocą nam przysła jednak koleżanka Bujwidówna, która tu wnet znalazła gromadę znajomych. Ubity zaraz został targ o jakiś pokoik, który zajmowało trzech tylko techników. Normalnie więcejjby tam nie mogło się pomieścić, lecz jakoś wpakowaliśmy się jeszcze i my we trójkę.

Zapadła już ciemna noc. Złożywszy na kwaterze swoje palta, futra i laseczki — rozbiegliśmy się po budynku, szukając jakowegoś militarnego przyodziewku. Wkrótce każdy z nas dźwigał żołnierski płaszcz, karabinki lub „steyery“ i pasy. Gorzej było z czapkami, to też nie gustując w czapkach c. k. apostołskich trepów — zostaliśmy przy swych akademickich maciejówkach.

Należało się z kolei zorjentować w sytuacji „frontu“, nie zwlekając więc, zaopatrzeni w opaski i odręczne legitymacje — rozpoczęliśmy swe funkcje.

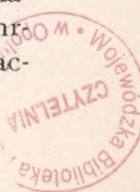
Linja się już mniej więcej ustaliła. Jej ślad znaczyły karabinowe strzały, to też poczynając od lewego skrzydła, orjentując się wedle ognia i otrzymanych wskazówek — przebiegaliśmy ulicę po ulicy, zapoznawszy się uprzednio z narysowanym na kolanie szkicem ulic i miasta.

Dwa dni walki oddały już w polskie ręce pokazną część lwowskich ulic.

Z największym rozmachem uderzył Tatar-Trześniowski od szkoły Sienkiewicza. Placówki jego sięgały pod dworzec, objęły Gródecką do kościoła św. Elżbiety, skąd od ulicy Leona Sapiehy zapędzały się z każdą godziną coraz dalej na północ, docierając do ogrodu miejskiego. Tutaj front linią swych placówek, które co chwila zmieniały miejsce walki — zaginał się na południe ku Cyta-deli, biegnąc gdzieś koło elektrowni w stronę parku Stryjskiego i Szkoły Kadetów.

Ukraińcy, zaskoczeni nagłym, niespodziewanym ogniem oporu i jego gwałtowną prężnością w kierunku centrum miasta — śnać zupełnie stracili głowę w pierwszej chwili, bo zajmowano ulicę prawie biegiem, po przełamywaniu niewielkiego oporu nieprzyjaciela. Dopiero pod koniec drugiego dnia, w godzinach popołudniowych i wieczornych rozpoczęli Ukraińcy ostrą kontrakcję — lecz już było za późno, by rozpoczętą walkę stłumić za jednym zamachem na naszą niekorzyść.

Połowa dzieciarni z całego Lwowa była już na polskim odcinku, który rozszerzał się spontanicznie, wybuchając niespodziewanym ogniem to tu, to tam. Peowia-cy, różne organizacje wojskowe, drobny oddział „Wehrmachtu“, tłumne zgłaszanie się różnych byłych austriac-



kich podoficerów i oficerów, akademików, a nadewszystko niepohamowany temperament najmłodszego pokolenia — uczniaków ze szkół wszelakich, poza tem t. zw. andrusów, gazeciarzy, pleno titulo batjarów lwowskich — mnożył siły polskie z godziny na godzinę.

Nad samorzutnie tworzonemi placówkami obejmowali komendę ludzie, obeznani z wojną i frontem, względnie szybko utworzone kierownictwo łączyło je już wspólną komendą, wyznaczało dowódców, kierunki uderzenia, dowodziło już żywność i broń.

O tę broń początkowo daliby się ludzie pozabijać. Niema broni, niema amunicji — powtarzali jeden za drugim dowódcy placówek i poszczególnych odcinków, młodzi bowiem obrońcy Lwowa, nie mający pojęcia o dyscyplinie wojskowej, zużywali niesłychaną ilość amunicji, strzelając ustawicznie i bez powodu, dla ulżenia animuszowi, dla wyładowania energii, dla andrusowskiej hecy, gdy nie zawsze był żywy cel na linii muszki karabinowej.

Na wyprawę po broń, przeprowadzoną w pierwszych dniach walk — wyznaczony został por. Dzieduszycki z plutonem akademików, uczestników zjazdu. Oprócz doraźnej korzyści „wyfasowania“ broni i amunicji, jaka się znajdować miała w koszarach dragonów przed roгатką Wulecką — chodziło również o zabezpieczenie tyłów odcinka Domu Techników. Lada chwila bowiem należało się spodziewać ataku ukraińskiego od Kulparkowa, na tyły odcinka szkoły Sienkiewicza i od roгатki Wuleckiej, na tyły odcinka naszego. Opanowanie Kulparkowa i Wulki oddać miało poza tem w ręce nasze część obwodowego toru kolejowego, ważnego ze względu na projektowane uderzenie na główny dworzec i jego olbrzymie zapasy — słowem była to akcja z wielu powodów ważna i nie cierpiąca zwłoki.

Następnego dnia uderzył tam Dzeduszycki. Wkrótce wpadł, zdyszany, utyłany w błocie, jak nieboskie stworzenie, akademik, z meldunkiem, że Wulka zajęta.

Meldunek poszedł dalej, do Komendy Naczelnej, do kpt. Mączyńskiego; na mapie Lwowa czerwoną linią ołówka wnet zaznaczona została nowa pozycja i nowy sukces.

Południe już się zbliżało następnego dnia, gdy obijając się w siodle, jak tylko piechur, który zdarł nogi w ustawicznych marszach, potrafi się na koniu obijać — rwałem w tamtą stronę. Zdobyty w stajniach koszar Wuleckich dragoński wałach bił kopytami aż błoto furczało na boki i niósł tęgim, pełnym galopem w stronę swych stajni, do koszar dragonów, opierających się wielkim bokiem prostokąta o rogatkę Wulecką i tor kolejowy.

Gdy skończyły się jakieś murowane parkany i po żółtkle jesiennymi barwami przydrożne stare drzewa — wpadłem między małe podmiejskie domki, rozrzucone rzadko po obu stronach drogi. Zwykła pukanina, która od wczoraj przez cały czas dochodziła od strony rogatki — nagle poczęła pogwizdywać ostremi lotami kul, gdy wypadłem z za podniesienia i gnałem wprost na biejące zdala budynki koszarowe.

Jacyś ludzie, kryjący się za chałupami coś tam do mnie krzyczeli — lecz nie zwracałem na to uwagi. Dostarczyć musiałem koniecznie wiadomości od Dzeduszyckiego, którego Ukraińcy od rana zawzięcie kontratakowali. Naciskałem tedy piętami mego wałacha, wściekły na siebie żem wjechał na koniu w obszar ognia i to na koniu, z którym nie wiedziałem, co w tej chwili począć. Szkapsko bowiem dragońskie, czyto podniecone strzałami, i gwizdem kul, czy też czując bliskość stajni koszarowych, a nie tęgiego „dragona“ na siodle — rwało

tęgim galopem, coraz bardziej gwałtownym i niepohamowanym. Jak Zagłobie, gdy mu się inflancka kobyła rozparła w konstantynowskiej potrzebie — tak i mnie tyśiące myśli gonić poczęły po głowie, gdy niezbitcie skonstatowałem, że koń poniósł na dobre. Choć bowiem wparłem się w strzemiona i ściągałem cugle jak mogłem najsilniej — twarde w pysku bydlę gnało jak oszalałe, a ostry, coraz ostrzejszy i bardziej gniewny wizg kul stawał się z sekundy na sekundę nieprzyjemniejszy.

Strzelę chyba w ucho łajdakowi — pomyślałem w pewnej chwili z prawdziwą rozpaczą — bo wałach niósł dalej, minął jakoweś grupki bijących z karabinów w stronę koszar cywilów, coś gwałtownie do mnie wrzeszczących, czego wśród huku ognia, pędu i gwizdu kul dosłyszeć nie mogłem — wreszcie ku największemu przerażeniu usłyszałem ztyłu za sobą gwałtowny łomot karabinów.

— A niechże cię wszyscy djabli... — zakląłem w dzikiej pasji, sięgając po steyer i w tej chwili zakreśliłem szeroki łuk w powietrzu...

Gdym podniósł się na rękach i rozejrzał w sytuacji — rozeznanie tej ostatniej nie przyszło mi z literacką błyskawiczością. W głowie czułem nie byle jaki męt, a wokół słyszałem tylko urągliwe, wściekłe jazgoty kul.

Z trudem zebrałem się i usiadłem na kopie zgnojonej słomy przydrożnej, na którą los łaskawy przemógł mię z siodła. Przyjrzałem się najpierw wałachowi, któremu z pyska toczyła się różowa piana i drgały już nogi — poczem skonstatowałem, że koń dostał, a ja nie, co niejako napełniło mię otuchą. Steyer leżał wbity obok w słomę, moja fizjognomja przedstawiać się musiała arcywesoło, skoro w tę kupę wleciałem, jak się to mówi: „na pysk“.

Przeciagnałem ręką po głowie. Kark jak przetrącony kijem niemiłosiernie mi dolegał, łeb nabity miałem akurata w miarę.

W tej chwili od chałup przed koszarami poderwał się istny wrzask indjan, tańczących wojenny taniec. Nie ulegało wątpliwości — Dzeduszycki porwał swoich akademików do ataku...

Minęła dobra chwila nim zwlokłem się ze słomy. Do koszarowych budynków było jeszcze ze 200 — 300 kroków, z chałupek przed nimi dolatywał dalej wrzask ułana, który się bije na piechotę.

Dotarłem wreszcie do niego. Dzeduszycki — snadź mojej przygody z koniem nie widział — stał rozkraczony przy chałupie, dygocącej jak w febrze od wystawionego w jej oknie i łomocącego karabina maszynowego. Ujrzawszy mnie, począł — co za silny głos — ryczeć jeszcze bardziej.

— Ludzi mi tu przyślijcie!... Ja się tu krwawię od rana, chłopaków mi wystrzelali, kontratakuję koszary...

— To widocznie porucznika z nich ruszyli — zauważyłem zgryźliwie, bynajmniej na wesoło nie predystynowany.

-- Ruszyli, nie ruszyli — wszystko jedno, nic komu do tego. Koszary i tor zaraz wezmę, tylko ludzi mi przyślijcie, bo jak znów przypuszczą atak, to mi już akademiki nie wytrzymają — darł się ułan w łoskocie ognia, zlany potem, utyłany w błocie, czarny od zmęczenia.

Ruszyłem zpowrotem. Gdym przebiegał od chałupy do chałupy, zpowrotem ku miastu — usłyszałem ponownie za sobą ryk jeszcze potężniejszy...

— Chłopcy, naprzód, naprzód! Bij takiego syna, hurra... — naprzód!...

Stałem na chwilę przy chałupie. Dzeduszycki gnał z rozwianym płaszczem przed siebie, za nim piorunem ciągnięto na kółkach rosyjski karabin maszynowy, wczoraj przez niego zdobyty. W promieniu dwustu kroków darła co sił w nogach rzadka tyraljera, lecących z wrzaskiem przed siebie akademików...

Wieczorem znalazłem się w obszernej sali, wśród rozwrzeszczanego bractwa zjazdowego. Kilku poprzetrącanych kulami odstawiono już do szpitala — reszta, zapomniawszy o programach, orientacjach, deklaracjach — piła „bruderschafty“ na umór. „Endek“ Drozdowski ścisnął się z niezależnym socjalistą Brunnerem, lewicowcy „sitwę“ i „sztamę“ zawarli z prawicowcami, co chwila zrywał się krzyk na cześć i zdrowie politycznego przeciwnika, a najgłośniej ryczano, wiwatując — nieobecnego zresztą Dzeduszyckiego. Nietylko odbili koszary, ale zajęli tor, bo choć po moim meldunku pchnął por. Bujalski Dzeduszyckiemu coś ze 20 ludzi — dwa razy tyle przyłączyło się do niego niewiadomo skąd zebranych lwowskich batjarów, którzy z „gwerami“ i „handgranatami“ walili na „štrefę“ jak sto wcielonych djabłów...

Wulka została odbita, a z koszar dowieziono broń i amunicję...

WALKA O DWORZEC GŁÓWNY.

Dworzec! To słowo stało się od pierwszej chwili najbardziej aktualne, najbardziej fascynujące i popularne. Gdy jako tako osadziła się linja, z której co chwila rzucono się do burzliwych ataków, rozszerzając obszar polskiego posiadania, gdy przybywało obrońców, a nie stało dla nich broni, amunicji, żywności, mundurów — wszyscy poczuli mówić o dworcu. Tam znajdować się mają kolosalne zapasy, w legendzie ustnej jeszcze bardziej powiększane, tam są stosy materiału wojennego, z którego pomocą można uzbroić i wyekwipować całą, dwutysięczną załogę wszystkich obrońców Lwowa. Stamtąd wreszcie będzie można wysłać pociągi na zachód, nawiązać łączność z resztą kraju, o którego losach nic w pierwszym tygodniu nie wiedziano... Dworzec, jako podstawa operacyjna walczącego Lwowa, musiał być wydarty Ukraińcom...

O tej konieczności mówiono na wszystkich placówkach, na wszystkich radach wojennych...

Zajęty został krótkim, błyskawicznym wypadem w nocy z 2 na 3 listopada przez por. Schromma z garścią ludzi. Zanim się zorientowano w potężnym labiryncie sal, korytarzy, torów i wagonów — już Ukraińcy przypuścili gwałtowne przeciwnatarcie.

Zawrzała rozpaczliwa walka. Bito się granatami, bagnietami, strzelano ogniem prosto w twarz. Nieprzyjaciel na chwilę zajął dworzec, na krótki moment wpadł tam do niewoli por. de Laveaux.

Ukraińcy przez trzy dni i trzy noce nie ustawiali w kontratakach, gwałtownych wypadach, lecz garstka rozjuszonych obrońców trzymała się zajadle. Szły stamtąd nieustanne łomoty ręcznych granatów, trzask karabinów maszynowych, nieregularny gruchot zwykłego ognia. Wreszcie nieco zelżało. Kto został panem dworca — nie wiadomo.

Z dwoma lwowskimi technikami pośpiesznie szedłem w tamtą stronę. Z ruchliwej zawsze ulicy Issakowicza, skręciliśmy na pogrążone w zupełnych ciemnościach uliczki, prowadzące do dworca.

Za czarnymi oczodołami pozasłanianych okien nie czuło się najmniejszego objawu ludzkiego życia, krok nasz huczał w nocnej ciszy, odbijając się głębokim echem o milczące, posępne mury kamienic. Zrzadka mijaliśmy patrol czy zmianę, idącą na placówkę, zrzadka przebłyskiwało gdzieś skąpe, żółte światelko.

Od kościoła św. Elżbiety weszliśmy naraz w oślepiającą linię światła. Aleja dojazdowa do dworca przez całą swą długość i szerokość oświetlona była wszystkimi łukowemi lampami, których zimne, białe światło w zamarłej ciszy ulicy dziwną budziło trwożę...

Szyny tramwajowe straciły już dawno swój stalowy połysk. Rdzawe podścielisko żółtych, wysuszonych, bez kropli krwi liści, zgrzytliwie chrzęści pod stopami. Wzrok, ciśnięty wzdłuż linii lamp i odartych z życia drzew łączy je w zwężającej się dali z jasnym połyskiem przed-dworcowego placu.



Dworzec Główny.

Wysokim, rozgłośnym tonem bije w to białe, niesamowite światło alei — karabin maszynowy. Umieszczony gdzieś na Grodeckim — chwycił trupa linę światła i wodzi po niej posiewem kul, stalowym ich sierpem zamykając dojście do dworca.

Zalani tajemniczym pyłem światła, przemykając się od zasłony do zasłony, biegniemy ku zdala widniejącym murom masywu dworca. Skok za skokiem, bieg za biegiem. Z bezruchu światła w mrok zasłony, w czarny kir rzadkich cieniów. Coraz dalej i coraz bliżej — aż ku wyrównanej brukowcem jasnej tafli dojazdu. Stąd bieg ostatni — i mroczny chłód gmachu.

Rozbite szkło zgrzyta pod nogami. Powyrywane ramy okienne, potrzaskane długie lady bufetowe, połamane wysiedziane kanapy. Drobną zieleń rozsypanych biletów, jakieś papiery, bezładem pośpiechu porozrzucane, szleszczą na kamiennych, zbrukanych posadzkach.

Strzały tu huczą głucho, echo ich kona tu raptownie na dworcowych murach, jakby schwyte z nienacką za gardło. Wśród ziejących pustką sal przebiegają z chrzęstem broni i tupotem nóg czarne widma ludzkie...

Wyszliśmy na peron. W słabym oświetleniu krwawiły się tu długie, posępne linje wagonów. Chwilami szedł wzdłuż torów rytmiczny, coraz potężniejszy wstrząs, którego łoskot przygłuszał strzały. Kto i gdzie strzela — tego nikt z nas narazie nie wiedział. Przychwycony wreszcie kolejarz z karabinem w ręku zaprowadził nas do biura kierownika ruchu.

Przy słabym świetle naftowej lampy — „urzędowała“ komenda dworca. Trzech oficerów z zaczerwienionymi od trudów i niewyspania oczyma, nawpół nieprzytomnych, obładowanych granatami u wszystkich pasów — tkwiło w naprężonym nachyleniu nad aparatem telefonicznym, który miał nawiązać łączność z komendą, miastem, z ośrodkiem walki. Tu, wyrzuceni poza właściwy jej obręb, każdej chwili narażeni na niespodziane i nagłe opadnięcie, sami jeszcze zagubieni w potężnym labiryncie gmachu i taboru kolejowego, musieli za wszelką cenę nawiązać łączność z komendą, któraby im cisnąć mogła garść ludzi na pomoc.

Zachrypniętym, bezdźwięcznym głosem powtarza swe monotonne „hallo!“ telefonista, majstrując wolną ręką przy zwojach drutu, a nachyleni nad nim oficerowie z natężeniem wpijają się wzrokiem w jego zmęczoną, zastygłą twarz...

— Nic z tego nie będzie. Trzeba linję raz jeszcze sprawdzić. Ktoś ciągle przerywa drut...

Była to największa udręka telefonistów i oficera łączności z Komendy Naczelnej Lwowa. Wroga, nieuchwytna ręka przecinała lub nacinała tylko druty, zostawiając je w powłoce nicianej, tak, że mozolnie i cierpliwie trzeba było badać drut cal po calu. Powtarzało się to niezmiennie od pierwszej chwili przeprowadzenia po-

łączeń telefonicznych — nie ustawało przez cały czas obrony Lwowa.

Oficerowie odeszli od aparatu. Już nawet nie kleli...

Z niechęcią orjentowano nas w położeniu. Bo i co tu mówić... Ciężko tak, że nawykli do trudów i twar-




Dyrekcja kolejowa. Westybul w którym rozegrały się najzaciętsze walki.

dych, nieustępliwych walk oficerowie „starej wojny“, legjoniści z frontu rosyjskiego, austriacy z włoskiego - z trudem przetrzymywali na dworcu 24-godzinną służbę.

Pierwsze noce szczególnie były straszne. Niewiadomo było, gdzie jest nieprzyjaciel, skąd padały strzały, skąd lecą granaty. Nadmiar straszliwego zamętu tych

pierwszych nocy zajechał na dworzec skądś od Tarnopola, z pół Ukrainy wysłany olbrzymi transport wracającej na „hinterland“ rozpadającej się armji austriackiej. Stare landszturmy: Węgrzy, Słowacy, Tyrolczycy, olbrzymią, kilkutysięczną masą zajechali na dworzec wprost na błyski granatów. Dziki jęk rozległ się w jednej chwili, gdy nie spodziewających się niczego bezbronnych „heimatowców“ poczęły drzeć kule, rozszarpywać odłamki granatów. Ci — oślepli z przerażenia, nawpół poszaleli, błakali się bezładnymi kupami z jednego końca dworca na drugi, wybijani, nieszczęśni, nie wiedzący, gdzie ująć, gdzie się schronić na tym obcym olbrzymim dworcu, który trząsł się od huku niezrozumiałej dla nich, niepojętej walki...



Rzadkie strzały raz w raz biły o mur dworca. Świt powoli wdierał się przez oszkloną halę, przejmujący chłód szedł od pustych pól. Tylko karabin maszynowy z Grodeckiej bił ciągle, nieustępliwie, z niepojętą, dziwną zaciekłością na stygnące światło łukowych lamp alei...

ŚLADEM POZYCJI I REDUT.

Niesłychany wprost rozmach, z jakim rzucono się od pierwszych chwil w wir ulicznych walk trwał dalej, choć minął już tydzień — z niezmienną siłą i energią. Koszary Wuleckie, Kulparków, dworzec, ulica po ulicy w głąb miasta prowadzące, na które samorzutnie uderzali dowódcy poszczególnych placówek — rozszerzały teren naszego działania, coraz większy obszar miasta oddając w polskie ręce. Po akcji na dworzec, który obsadzony placówkami, plutonami, karabinami maszynowymi i miotaczami min przedstawiał się wkrótce jako niezdobyta twierdza — zapal obrońców Lwowa zestokrotniał. Amunicja, którą w kolosalnych ilościach dostarczyły wagony dworca, mundury, żywność, tytoń, rozwijająca się z dnia na dzień i coraz lepiej funkcjonująca intendatura, dymiące kuchnie polowe, dowożące gorącą strawę — wszystko to, a nadewszystko coraz większe zaufanie do karabina, bijącego celnie i niezawodnie, do karabina, którym trzyma się Lwów, nie dając go sobie wyrwać — napełniało oficerów, żołnierzy, akademików, lwowską dzieciarnię, andrusów, batjarów, inteligentów i robotników, ostrzelanych już w ogniu, wytłamszonych w prowizorycznych okopach — pyszną dumą, zawadjacką, nieprawdopodobną wprost fantazją, wyrabiając z nich w ciągu tych kilku dni znakomitego żołnierza, z którym można było wszystko zrobić, na wszystko się ważyć...

Przygotowana wnet została nowa akcja. Opanowanie naszych tyłów, ubezpieczenie się od strony zachodniej pozwalało na przeprowadzenie uderzenia w głąb miasta, które, kto wie, doprowadzić może do zajęcia całego Lwowa...

Zmobilizowano wszystkich kolejarzy. W ogromnych warsztatach kolejowych zawrzała gorączkowa praca. Mechanicy wysilali cały swój spryt i wiedzę, by doprowadzić do używalności działa, zdobyte przez Trześniowskiego w Rzęśnie Polskiej, naprawiano karabiny maszynowe, a nadewszystko nagwałt wykończano budowę pancernego samochodu, obitego stalowymi blachami, któremu dano imię wszystkim starczące za hasło. Pierwszy lwowski samochód pancerny, wykuwany nocami stalowy potwór, najeżony chciwymi lufami karabinów maszynowych nosił krótkie i twarde imię, brzmiące jak bojowy zew: „Piłsudczyk...”

Atak polski runął 9-go listopada o świcie. Wybrano doborowe plutony, do których przyłączono również pluton akademików — uczestników zjazdu. Doskonale wyposażone oddziały w broń i amunicję, obwieszane granatami ręcznymi — posuwały się w ciszy nocnej do punktu wypadu.

Jako miejsce przełamania frontu wybrano odcinek ogrodu Jezuickiego, główne uderzenie miało wyróżnąć w Ukraińców ulicami: Mickiewicza, Jagiellońską i 3-go Maja. Cel uderzenia: opanowanie głównej arterji miasta, t. j. ulicy Karola - Ludwika.

Zawrzała gwałtowna, zażarta walka. Polskie kolumny uderzyły jak burza — lecz zbyt gęste zgrupowanie w ciasnych ulicach porwało od pierwszej chwili mnóstwo strat. Z pałacu Gołuchowskiego, zajętego w nocy przez Ukraińców, o czym nasza Komenda Naczelna nie wiedziała —

począł prażyć bliski, celny ogień. Gdy wśród piekielnego ognia karabinowego i huku ręcznych granatów rozległ się jęk rannych — linja się zachwiała, krzyki komendy nie mogły poderwać reszty...



Pierwszy lwowski samochód pancerny zbudowany w pierwszym tygodniu walki.

Z metalowym szczękiem wysunął się wówczas samochód pancerny, bijąc ze wszystkich swych karabinów maszynowych. Atak porwał się na nowo, lecz auto za chwilę stanęło. Bliski ogień Ukraińców, bijących z pięter z okien kamienic w posuwającego się stalowego potwora — dostał się do skóry obsługi.

Z jękiem osunął się pierwszy celowniczy... Karabiny maszynowe zacinały się jeden po drugim — rozdygotany motor niepokojąco począł zarywać...

Atak się nie udał, ulice Lwowa zasłały się trupami.

Od tego pamiętnego dnia walki lwowskie przyjęły charakter walk nieomal okopowych. Komenda Naczelna zbyt słabemi operowała siłami, by zdecydować się na okrężny atak i obejściem uderzyć na tyły Ukraińców. Zajmowano nadal okoliczne wsie, wiążąc przez to na zewnętrznym odcinku miasta poważne siły ukraińskie — ale na przeprowadzenie oskrzydającego ataku brakło sił.

Od tej chwili zaczęto oczekiwać z dnia na dzień odświecy z kraju... Nawiązano już z nim łączność przez lotników, którzy zdołali się dorwać do aparatów austriackich, nie zagarniętych jeszcze przez Ukraińców.

Dnie wkrótce zaczęły płynąć jak na wojnie pozycyjnej, na stopniowym wyniszczaniu sił Ukraińców, którzy od 10 listopada raz po raz zaczęli atakować poszczególne odcinki, chcąc za wszelką cenę skończyć z obrońcami Lwowa, nim nadejdą im posiłki. Lecz linja polska trzymała się twardo, nieustępliwie, a wśród walk zapanowały regularne stosunki pozycyjne. Front podzielono na pięć odcinków, zorganizowano komendy, uruchomiono sprawnie cały, skomplikowany aparat wojny.

Nasz odcinek Domu Techników nazwany został I-ym jako na skrajnem, prawem skrzydle leżący. Wydzielony doń został obszar miasta od ulicy Potockiego do Lenartowicza wraz z Pełczyńską i kątem Cytadeli, pod którą utworzony został pododcinek porucznika Monda¹⁾

¹⁾ Bernard Mond, obecnie pułkownik, dowódca piechoty dywizyjnej.



„Reduta Piłsudskiego” w gmachu seminarjum obok poczty.

t. zw. Cytadela. Był to jeden z najtrudniejszych pododcinków. Nieustannie krwawili się tam obrońcy od bliskiego i celnego ognia ukraińskich strzelców, którzy z murów

Cytadeli bili niezawodnie na odgłos każdego ruchu z naszej strony.

Odcinek II ochraniał łomotaniną swego ognia potężny gmach Techniki. Od ulicy Karpińskiego, części Mickiewicza do Lenartowicza stanowił on t. zw. odcinek Marji Magdaleny, na którym obroną kierował porucznik



Patrol ukraiński i nasz na ul. Sykstuskiej podczas zawieszenia broni 20. XI. 1918.

Świeżawski. Tam, wśród ulic odcinka II niezdobytą twierdzą polską stanowiła „Reduta Piłsudskiego“ w potrzaskanym od kul gmachu unickiego seminarjum, groźnie wystawiona.

Szkoła Konarskiego stanowiła odcinek III. Biegł on zygzakowatą, łamaną linią od ulic Karpińskiego i Mickiewicza do ulicy Na Błoniu, ogarniając linią swoich placówek plac Bilczewskiego i ulicę Leona Sapiehy. Dowodził tam kpt. Łodziński, później rtm. Cieński.

Potężny masyw dworca wraz z przyległymi ulicami otrzymał nazwę odcinka IV „Dworzec“. Po kpt. Majewskim objął tam dowództwo stary legjonista, kpt. Pieracki ¹⁾.

Odcinek V stanowiła szkoła Sienkiewicza, która wraz z Domem Techników pierwsza porwała za broń. Obejmował on część miasta od ulicy Grodeckiej, placu Bilczewskiego, ulicy Leona Sapiehy włącznie do ulicy Potockiego. Dowodził nim kpt. Baczyński.

Dalej, za nimi, na Górze Stracenia, utworzył się osobny odcinek, na którym ustawiczne, a ze wspaniałym temperamentem bojowym, przez rotmistrza Abrahama²⁾ prowadzone trwały walki.

W ten sposób podzielono linję, a w zorganizowanych odcinkach, porozgraniczanych na pododcinki, w pocharatanych kulami kamienicach, na wylotach ulic, po ogrodach, zaułkach, placach przywarli do swego miasta obrońcy Lwowa, broniąc, jak rozwścieczone młode orlęta bronię swego rodzinnego gniazda...

¹⁾ Obecnie pułkownik, wicemin. Spr. Wewn.

²⁾ Roman Abraham, obecnie pułkownik.

W MURACH KADECKIEJ SZKOŁY.

Nasz pierwszy odcinek Domu Techników poważnie rozszerzył obszar swego działania ku południowi. Poszczególne placówki w wypadach swych zapuszczały się coraz bardziej wzdłuż ulicy Kadeckiej; od zajętej rogatki Wuleckiej pchnięto oddziały na wschód ku parkowi Kilińskiego, tak, że w kilka dni opanowany został olbrzymi gmach Szkoły Kadetów, linja Stryjskiego cementarza i szeroka, wspaniale zadrzewiona aleja ul. Stryjskiej, przecinającej park Kilińskiego.

Trwały tam zażarte walki, nim ostatecznie opanowano ten punkt i utrzymano go w ręku. Nieustanny ogień dochodził stamtąd nieregularną trzepanią i trajkotem karabinów maszynowych — całe szczęście, że linja telefoniczna, przechodząca przez ulice i obwód mało zamieszkały, funkcjonowała bez zarzutu, podając natychmiast meldunki i rozkazy.

W Domu Techników, w dusznym pokoiku komendy I odcinka, skąd rozchodziły się rozkazy i dokąd napływały meldunki — telefon polowy brzęczał nieustannie. Wokół ścian, na prostych, żelaznych łózkach, pokodem leżeli śpiący oficerowie, których zmiana zwolniła z ulicznych okopów — zresztą panował tu nieład nieopisany. Zapasy tytoniu, konserwy, chleb — zwalone po kątach. Stosy meldunków, rozkazów, raportów, zajmowały stół, na którym oparty na łokciach, drzemał niespokojnie ko-

mendant odcinka I-go, porucznik Bujalski. Nie rozbierał się on jeszcze od chwili pierwszych walk, tak zresztą, jak i wszyscy — lecz, gdy każdy z nas mógł od czasu do czasu chwycić kilka godzin tęgiego, zdrowego snu — porucznik Bujalski nie sypiał właściwie wcale. Każdy silniejszy, zrywający się nagle ogień porywał go natychmiast na nogi — a że nigdy prawie telefon pewnie nie działał, więc kończyło się na tem, że na mnie spadała funkcja gnania na łeb, na szyję przez wykrety uliczne, doły i okopki do linii ognia, by sprawdzić, co się na danym pododcinku dzieje.

Tak się stało i tej nocy. Od Kadeckiej Szkoły rozległy się naraz coś koło północy gwałtowne strzały i za-bulgotał ogień naszej załogi. Piekiło rosło z każdą chwilą, z sekundy na sekundę, aż podniosłem głowę z nad stołu, niespokojnie nasłuchując. Porucznik Bujalski zerwał się już na nogi.

— Telefonista! Łączyć z rotmistrzem Bieńkowskim...

Delikatny ton brzęczka, długie, przeciągłe brzęczenie, ni to wielkiego komara czy trzmiela. Zaczem dwa krótkie, urywane i znów: ta, t... taa, ta, ta... Palec telefonisty delikatnie naciska brzęczyk, wysunięte wargi — znak dzieciennego skupienia — wydłużają twarz gimnazjalisty...

— Do stu djabłów... przerwany drut... — zaklął porucznik Bujalski...

Telefonista próbował jeszcze brzęczka, ja tymczasem zapinałem pas pysznego, dziesięciostrzałowego stejera, wycyganionego od jednego z dublańczyków.

— Niema co, musi pan gnać — zwrócił się do mnie z rezygnacją komendant odcinka — gdyż ogień nie ustawał ani na chwilę. Wszystkie karabiny maszynowe Szkoły Kadeckiej tępo łomotały wśród wysokiej targaniny strza-

łów ukraińskich. Na ich odgłos z łóżek i stołków podnosiły się jedna po drugiej rozespiane, rozwichrzone głowy, palce nerwowo biegały wokół guzików i sprzączek...

Świeże, ostre powietrze ogarnęło mnie za chwilę. Zaułkami, przechodniemi domami, płotami — na krótszą drogę, w ciągu jasnych dni wypenetrowaną — biegłem ku łomotowi ognia.

Wnet ogarnęły mię ostre pogwizdy kul, które cięły we wszystkich kierunkach, błyskiem luf oddawane z różnych odległości. Wśród ostrego, zjadliwego gwizdu bliskich, trafiały się częste pojęki, żalosne tony dalekich „Panu Bogu w okno“ strzelanych kul. Po kilkunastu minutach wpadłem w mroczny cień murów Szkoły Kadeckiej, dyszącej w ciemnościach ogniem walki.

— Atakują od parku Stryjskiego, atakują ostro — poinformowała mię przyczajona wedeta, stojąca u furtki muru, pochylona w zasłuchaniu ku czarnej ścianie parku.

Wielkimi, szerokimi schodami wpadłem na pierwsze piętro. Rozwarłem wejście we drzwi od pierwszej sali i odskoczyłem natychmiast jakbym otrzymał cios w piersi, tak mię odrzucił straszliwy łomot, buchający z wnętrza.

Minęła chwila, nim wszedłem. W otwartych oknach wielkiego pokoju Szkoły ciskały płomienne warkocz dwa karabiny maszynowe. Łomot ognia huczał w zamkniętej sali tak strasznie, że zdawało się, iż rozsadzi głowę. Nie był to już huk przerywany, rytmiczny pogłos, jaki daje karabin maszynowy, ale jeden porywający łoskot, spotężniały niewiarogodnie echem zawartych ścian, tłukący się w ich czarnym kwadracie, z dziką rozpaczą i szalem wściekłej energii, szukającej ujścia. Krótkie, szarpane błyski płomieni zlały się w warkocz ognia, którego gwałtowny miot nie ustawał ani na sekundę, a duszący gaz

bezdymnego prochu dławiał piersi, drażnił nieznośnie oczy i krtań...

Przy obydwóch maszynkach wtuleni w ramiona, pochyleni ku sobie, tkwili bez ruchu celowniczy, a wąski



Karabin maszynowy w Parku Stryjskim.

pas nabojów powolnie podsuwały im delikatnie i spokojnie dłonie obsługi...

Ktoś wpadł do sali. Na tle jaśniejszego nieco okiennego kwadratu poznałem rotmistrza Bieńkowskiego po kożuszku i srebrnej nitce sznura, owiniętej wokół szyi. Dwa szybkie ruchy ręki i ogień raptownie ustał, nic jed-

nak nie było słyhać przez dłuższą jeszcze chwilę, taki łomot bił po skroniach...

— Prawa maszynka na drugie piętro — krzyczał do ucha celowniczemu rotmistrz Bieńkowski, a zwracając się do lewego, wołał:

— Bić na drogę Stryjską, sto na sto metrów, obsiewać drogę!...

Znów rozległ się warjacki, szaleńczy łoskot, a tymczasem maszynkę prawą w mig, piorunem porwano na ręce i rzucono się we drzwi, na piętro.

Skoczyłem za nimi i za Bieńkowskim.

— Dobra jest — krzyczał mi w ucho. — Ukraińcy dostają w skórę, jak się patrzy! Podeszli już pod mur, lecz wyrzuciliśmy ich granatami. To się skończy niedługo, przydałaby się jednak amunicja do maszynek, skocz pan do Bujalskiego, zamelduj, coś widział — i niech przysła amunicję i granaty!...

Z drugiego piętra, gdy tylko zmontowano maszynkę, zbiegliśmy nadół, przez wielką salę, obsadzoną strzelcami, którzy oparli o parapety okienne, wchłaniali oczyma mrok nocny.

Stąd przez podwórzec, ku furtce w murze...

— Co tu jest? — zwrócił się Bieńkowski do obwieszanej granatami sylwetki żołnierza, czającego się przy ścianie — i na odpowiedź, że wszystko w porządku — głęboko odetchnął. — Już świt blisko, w dzień napewno nie próbują...

Pognałem zpowrotem do Domu Techników, skąd natichmiaist posłano żadaną amunicję i granaty ręczne.

Jednak atak na Szkołę Kadecką bynajmniej nie ustał z budzącym się dniem. Od wczesnego ranka Ukraińcy próbowali wdrzeć się jeszcze raz ku Kadeckiej górze — tym razem od cmentarza Stryjskiego — gdzie ich raz

jeszcze spotkała kompletna klęska. Chłopaki Bieńkowskiego z takim wściekłym impetem rzucili się na podchodzącą tyraljerę ukraińską i ich karabiny maszynowe, że w jednej chwili wygnietli, wybili atakujących prawie do nogi. Bieńkowski, który poderwał kontratak, ze zdumieniem i zgorznięciem zarazem opowiadał później, jak któryś z jego mikrusów doskoczył do roztrzęsionego ogniem karabina maszynowego, jak jednym kopnięciem nogi wyrzucił nóżki, wyrznął kolbę celowniczego i przerwał ogień. To też nam „starej wojnie“ nie mogło się poprostu pomieścić w głowie, jak to tak można lecieć z kopniakiem na karabin maszynowy i kiwaliśmy głowami nad temi zuchwałemi dzieciakami, dla których kopnięcie strzelającego karabina maszynowego było jednym z serji psich figlów, któremi jeszcze dwa tygodnie temu dokuczali swym belfrom w szkole...

POD BLANKAMI CYTADELI.

Mury lwowskiej Cytadeli zajmują prostokąt, z niewielkimi odchyleniami, wznoszący się między ulicami Pelczyńską od południa, Mochnackiego od południowego, a Ossolińskich od północnego wschodu. Bok północno-zachodni odwrócony frontem ku ulicom Kadeckiej, Bogusławskiego, Łazarza, Chodorowskiego i Wronowskich w listopadowych walkach stanowił front, o który uderzały kule naszych karabinów.

Trwały tu walki zażarte, bohaterskie, wymagające świetnego, spokojnego żołnierza. Walki w mieście bywają zawsze o wiele bardziej demoralizujące niż w otwartym polu. Bliska odległość od nieprzyjaciela, nie przenosząca zazwyczaj 100 do 200 kroków, powoduje celność i niechybność strzałów, kule nie pozostawiające w polu po sobie śladu, prócz gwizdu, biją tutaj, kurząc tynkiem po murach, — namacalnie, dotykalnie nieomal, świadcząc o swej ustawicznej, bliskiej obecności. Wielka poza tem ilość zasłon, strzelnice, poukrywane w murach, po dachach, dymnikach, wystawiają na nagły, a niespodziewany ogień, a rykoszety drażnią i demoralizują żołnierza, po stokroć bardziej niż na otwartym polu.

Odcinek, do którego zostałem wyznaczony, gdym już dość miał ustawicznego latania po wertepach z rozkaza-

mi, ciągnął się pod samymi murami Cytadeli. Stawały go kamienice ulicy Kadeckiej, z których okna wychodziły wprost na czerwone blanki murów Cytadeli, poza tem zabudowania elektrowni miejskiej odgródzone



Zburzony bastion Cytadeli.

drewnianym płotem, zwrócone frontem ku groźnemu narożnikowi fortecy, a zajmujące prostokąt, utworzony przy zbiegu ulic Wuleckiej i Kadeckiej, wreszcie niewielka uliczka Bogusławskiego, której wylot północno-wschodni od ulicy Łazarza był w posiadaniu Ukraińców.

Sytuacja na południe od ponurej masy czerwonych murów raptownie się zmieniała. Zadrzewionem wzgórzem nawprost pływalni wojskowej ciągnęły się tu okopy naszych placówek, zwrócone frontem ku Cytadeli, a dalej na południe część żydowskiego cmentarza oraz ogromny gmach Szkoły Kadeckiej, zwrócony strzelnicami okien na aleję parku Kilińskiego były już w posiadaniu naszym, poddane komendzie rotmistrza Bieńkowskiego, również wchodziły w skład odcinka I-go Domu Techników.

Ciemną, mroczną, bez jednego światła ulicą Lenartowicza, szedłem z Wackiem Denhoffem ku Cytadeli. Szliśmy cicho, ostrożnie, mimo to nieustanny trzask karabinowych strzałów, którymi Ukraińcy bez przerwy bili w tę ulicę, łączącą polski pododcinek z głównymi siłami miasta — towarzyszył każdemu naszemu krokowi. Co chwila rozpaczliwy brzęk tłuc onej szyby rozbijał monotonię strzałów i czarną toń nocnej głuchoty, a zjadliwe wycia rykoszetów, tłukących się między murami, raz po raz wirowały powietrzem jak rozkręcanym gwałtownie, niesamowitym biczem...

Denhof-Czarnocki obchodził swój zwykły front placówek, jako służbowy oficer komendy pierwszego odcinka i towarzyszył mi w drodze ku Cytadeli. Za chwilę lisiemi krokami przebiegliśmy zbieg ulicy przy elektrowni, stając u drzwi narożnej restauracji.

Szynk ten, czy restaurację zajmował jeden z plutonów porucznika Monda. Pozabijane deskami okna, pospuszczane zasłony na drzwi. Wewnątrz roilo się od żołnierzy, którzy spali na ziemi, krzesłach, ławkach, na ladach, na półkach, dawno już opróżnionych z jadła i napitku, wreszcie gdzie się dało. Pod nogami leżały stertami granaty i naboje, ruina i typowy bezład chwilowej kwate-

ry frontowej rzucały się tu w oczy od pierwszego wejścia.

W drugim pokoju, ledwie, ledwie rozświetlonym nąftową lampą — na żydowskich betach, które tu właściciele w pośpiechu ucieczki pozostawili, rżnęli w karczęta oficerowie. W hełmach, w różnorakich płaszczach, brudni, niemcy, niegoleni — sprawiali raczej wrażenie szajki podmiejskich apaszów, niż bohaterskich obrońców Lwowa.

A jednak byli to bohaterscy naprawdę obrońcy — o czym mimo tak fatalnych zewnętrznych ich wyglądown, wkrótce miałem się przekonać.

— Olszewski, Świtalski¹⁾, Bogucki²⁾, — padają nazwiska, gdy się im przedstawiłem, a zanim mnie zaprowadzą do porucznika Monda, komendanta odcinka, ucinamy krótką pogawędkę o jego, to jest odcinka, właściwościach.

Typowo lwowski. Od wejściowych drzwi restauracji wylot ulicy Pełczyńskiej — czego w ćmie nocnej nie zauważyłem — zamyka okop, w którym zostały pracowicie w nocy przekopane jezdnia i chodniki, przez całą szerokość ulicy aż do płotu elektrowni. Obstawiony wzdłuż całej swej długości stalowymi tarczami ochronnymi, podchodzi okop pod same drzwi restauracji, z których się doń daje skok, podczas gdy z przeciwnej strony ulicy można dać nura popod czarny płot elektrowni, gdzie przed wzrokiem Ukraińców jest się już bezpiecznym.

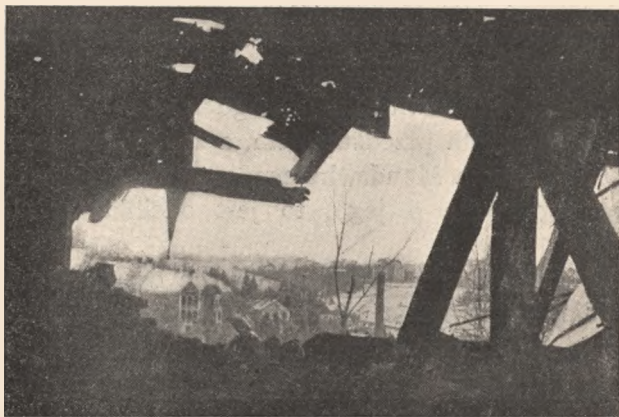
Straty są tu ustawiczne, zarówno w nocy jak i w dzień. Ukraińcy wyrzucili karabin maszynowy na

¹⁾ Adam Świtalski obecnie podpułkownik.

²⁾ Porucznik Kazimierz Bogucki poległ na froncie rosyjskim w roku 1919.

ów fatalny róg ulic, przymocowali go widocznie „na fest“ i raz na zawsze, i przy najmniejszym odgłosie — biją. Stalowe tarcze dźwięczą, rykoszety trzaskają po kamiennych taflach chodników — ranni i zabici padają dzień w dzień...

Drugi, niezgorszy równi z kawałek — to ulica Bogusławskiego, skąd bić można tylko z lewego ramienia, wychylonego poza mur. Okopu nie udało się tu jeszcze



Widok ze zburzonego bastjonu Cytadeli na ul. Kadecką, po zdobyciu Lwowa.

przekopać, przechodzi to bowiem ludzką możliwość, więc wedety z placówki tam stojącej dają znać o sobie ogniem z lewego ramienia.

Trzeci punkt — to tyły kamienic narożnych między Bogusławskiego a Pełczyńską...

Przyglądam się dokładnie, o ile nikłe światło lampki na to pozwala — mym interlokutorom. Wszystko aka-

demicy — twarze jednak tak wyniszczone i wychudłe od ustawicznego naprężenia nerwów, od niewyspania i nieprzerwanej czujności, że tylko to okrutne wycieńczenie świadczy aż nadto, że obrońcy tego odcinka bynajmniej — wbrew pozorom — nie stanowią szajki legendarnych zbójników. Zachrypnięte głosy, zaczerwienione oczy w których czytać można wyraz, tak właściwy ludziom, w ciężkich warunkach bojowych zostającym, wyraz jakby trochę tępego znieczulenia i apatji, targanej jednak natychmiast chwytem woli, gdy wchodzi się w akcję bojową. Ich ruchy są zautomatyzowane, chwilami niemal podświadome, poruszane sprężynami, z których jakości żaden z nich napewno nie zdaje sobie sprawy. Poza tem trzyma się ich ten zwykły, w obliczu natrętnej śmierci wychowany, szubieniczny, cynizm zaprawiony humor.

Przez szczelnie pozastawiane i pozakrywane okna — trzask ukraińskich karabinów dochodził nieco stłumiony, lecz mimo to przykry i podniecający ze względu na swą niewiarogodną bliskość. Czuło się poprostu za nim oddech strzelca, naciskającego cyngiel karabina, widziało się jego przymróżony, złowrogi błysk oka.

W tej samej chwili zajazgotał ostro, gniewliwie karabin maszynowy. Zaniósł się wściekłym porywem ognia, miotami kul siejąc po ulicy, przeraźliwym bolesnym trzaskiem wbijając się pod czerep mózgu. Wnet też przez zasłonięte okna doleciał przenikliwy, rozdzierający, urwany w połowie słowa krzyk...

— Znów ktoś przetrącili! Nie mogę tych śmierdzieli oduczyc — wrzasnął któryś z oficerów i buchnął do pierwszego pokoju...

Tam już zerwał się tupot nóg. Gdyśmy weszli, dwóch chłopaków wciągało szybko za nogi młodego żołnierza...

Już nie żył... W bladym świetle lampy twarz miał

zszarzałą, ziemistą, bez kropli krwi, prawie niebieską. Ściśnięte wąskie wargi i oczy zapadłe w otchłań. Przewiązany paskiem, za wielki, granatowy płaszcz austriackiego landszturmisty, długie, pozawijane rękawy, a z pośród ich czeluści wynurzały się drobniotkie ręce dziecka...

— Do jasnej cholery, skąd on się tu wziął, pocolazł? — darł się porucznik, który snadź nie gustował w mowach pogrzebowych — bo gwałtownie rozpiąwszy płaszcz chłopaka i zbadawszy okrutną ranę, wielkości dużego pieniądza, w lewej piersi żołnierskiej, zawołał: posłać po lekarza, niech zbada śmierć i zapisze kto to jest...

Żołnierze niechętnie ruszyli ramionami.

— Ta i doktor nie będzie wiedział — odezwał się któryś, ciągnąc po lwowsku — bo nikt tego mikrusa nie zna. Dwa dni temu przybłąkał się do nas, wziął karabin i chodził na warty. Jakiś student...

— Jednak skoczyli, dołem pod płot i do elektrowni, gdzie kwaterował Stach Hiller, jako lekarz tego ciężkiego odcinka. Przybiegł za chwilę i nie witając się z nikim zabrał się do trupa...

— To go tam doktorze opiszcie, może ma jakieś papiery...

— Nic niema — szukał Stach próżno po kieszeniach. Wszyscy oni śladu po sobie nie zostawiają. Cóż z nim zrobię?...

— Wziąć go trzeba do elektrowni, a później na cmentarz do Politechniki. Znajdzie się przecież jeszcze miejsce. I tak codzień, co godzinę niemal — zwrócił się do nas prawie z desperacją porucznik Bogucki. Mówi się, tłumaczy się im, grozi, żeby psiakrew nie chodzili górą, lecz dołem — i nic, wszystko napróżno. Nos se idzie otrzeć, to staje na środku rogu, trąbi, aż go

postrzelą. W dzień nie chce się mikrusowi nurkać w okopie i pod płotem, to nogi za pas i dmie górą ulicy, jakby się bawił w wyścigi z kulą. A Ukraińcy biją — straty ustawiczne, aż cholera bierze człowieka na taką wojnę i na takie „wojsko“...

„Mikrus“ tymczasem leżał wśród obłoczonej słomy a pełgające leniwie światło lampy rzucało cień na zapadnięte głęboko jego policzki, sprawiając wrażenie uśmiechu. Lwowski mikrus podśmiewywał się cicho z tego nudnego zrzędzenia oficera nad nim, który się przecież nie bał Ukraińców ani ich kul...



Porucznika Monda zastałem w jego kwaterze na ulicy Kadeckiej Nr. 4, w mieszkaniu jakichś baronów. Szło się, by się tam dostać, wzdłuż płotu elektrowni pod bokiem murów i ognia Cytadeli, lub też za płotem i tyłem dwu pierwszych kamienic. Na kwaterze, w mieszkaniu na I-em piętrze, w pokojach, w których okna wychodzące na ulicę pozastawiane były gęsto materacami — leżało na słomie, baronowskich meblach i kanapach ze trzydziestu niemożliwie chrapiących żołnierzy. W ostatnim, którego bałagan nieboszczyk Kraszewski opisałby na dziesięciu stronicach — grał w jakiegoś pokera komendant pododcinka „Cytadela“.

Porucznik Mond — przedstawił się chrapliwym, niskim głosem, wyciągając potężną dłoń, gdy się mu meldowałem.

Spojrzałem ciekawie, jako że niebylejakiego miałem przed sobą oficera, o którym wiele się już po odcinkach lwowskich mówiło...

Ogromny chłop, twarde, grube rysy, twarz rzymskiego legjonisty, który bez wzruszenia, spokojnie potrafi stać

wśród warczących grotów. Zdawał się być napozór srogim i ponurym, lecz ta męska, jak z kamienia wykuta, zaledwie obciosana postura żołnierska, śmiała się dobro-



Por. Bernard Mond.

tliwym błyskiem niebieskich, jakby kpiących nieco oczu. Te niebieskie łagodne oczy, dziwnie kłóciły się z twarzym, jak taran, masywem ogromnego ciała...

Sprawy formalne załatwiliśmy krótko i węzłowato. W południe mam objąć służbę w drugim plutonie wspólnie z porucznikami Boguckim i Olszewskim. Choć oficerów wypada tu dwóch na pluton, nie jest to jednak za dużo, gdyż służba jest ciężka nad wyraz. Na drugi dzień przydzielono tu ponadto jeszcze pluton karabinów maszynowych oraz „narukowała“ Hela Bujwidówna, której odciłek ten srodze przypadł do smaku...

NA PUNKCIE OPATRUNKOWYM.

Pododcinek Monda pod Cytadelą — nieustannie dostarczał rannych i to rannych ciężko. Bliski, celny ogień Ukraińców, bijących z wysoka, bijących w cele widne jak na dłoni — czynił codziennie spustoszenia wśród młodych obrońców Lwowa. Coraz to osuwała się niewyrosta jeszcze postać z głuchym jękiem na ziemię lub z bolesnym okrzykiem „sanitarjusz, sanitariusz“ wybiegał któryś z nich z okopów czy z załamania murów, bladą, wyłękłą twarzą nagle przetrąconego kulą żołnierza, szukając ratunku na punkcie opatrunkowym.

Punkt opatrunkowy... za linią posuwających się naprzód tyraljerek, pod kępą drzew, na skraju lasu czy w chałupince białej i widnej zdaleka — bolesnym znakiem czerwieni, na krzyż złożonemi ramionami, wzywa ku sobie i ściąga pobitych, rannych, podziurawionych kulami, z trudem łapiących oddech żołnierzy — punkt opatrunkowy. Splamione poscką ludzką, długie nosze, spracowane ręce sanitariuszy, podarte i skrwawione wokół szmaty, cikliwy odór krwi, zmieszany z ostrym, dojmującym zapachem lekarskich środków. W białym fartuchu, z zawiniętymi po łokcie rękawami uwija się lekarz, krzycząc goś ustawicznie i śpiesznie, jaknajśpieszniej pracując lancetem...

Przebrzydłe, pogardzane, lekceważone i lżone „łapi-duchy“ z błotem i aspiryną mieszane na każdym kroku przez żołnierzy, teraz zbierają wdzięczne, lękiem zasnu-te spojrzenia rannych. Ich spracowane, mocne ręce ostrożnie, z czułą, matczyną uwagą przenoszą cicho ję-czącego na stół operacyjny, zwykły, wymalowany na białe stół chłopskiej rodziny.

Tętna biją pośpiesznie, niespokojnie, rytm krążącej krwi słabnie i omdlewa, ciężkie się opuszczają powieki na zapadnięte oczodoły, szarzeją młode twarze w agonji ostatnich chwil. Ówdzie ze słabym uśmiechem szczęścia, że przecież tylko tak lekko „przetra-cili“ siedzi na ziemi lżej ranny, z obolałą ręką czy nogą czekając cierpliwie na odjazd w tył z pierwszym transportem...



Punkt opatrunkowy pododcinka „Cytadela“ założo-ny został w biurach elektrowni, tuż naprzeciw Cyta-deli. Dyrektor elektrowni, inżynier Tomicki, zasłużony działacz społeczny, świetny fachowiec i znakomity w swej dziedzinie pracownik — całą swą duszą związany był z obrońcami Lwowa. Piękna postać, niezwykle ujmują-ca w obejściu, szlachetną siwizną przystrojona głowa, wy-bitnie, rasowo polska, przypomina żywo Łokietkową głowę z wawelskiego sarkofagu.

Inżyniera Tomickiego i jego przezacną żonę — przed samym końcem wojny dotkliwy i ciężki uderzył cios. Jedyń ich syn zginął jako lotnik wojsk austriac-kich, siostra pani Tomickiej w tym samym czasie u nich zmarła — zdawałoby się tedy, że przygłuszeni nieszczę-ściem osobistym, bolesną samotnością swych serc, nie będą już mogli cieszyć się i współczuć radosnej wokół siebie tężyźnie młodego, gorącego życia.

Jakże inaczej zachowali się oboje, gdy nagle znaleźli się wobec ostrego, gromkiego huku wystrzałów, gdy otoczył ich kołem śmiertelnym świst złowrogi pocisków, i gdy rozpalone gorączką oczy młodych obrońców Lwowa poczęły błyskać wśród ciemnych, nagle zgłuchłych ulic miasta i dookolnych domów Cytadeli.

Państwo Tomiccy wnet zakrzętnęli się z żywą, gorącą, najserdeczniejszą i miłości pełną pomocą.

Rozliczne pokoje biur elektrowni, cały parter, oddany został natychmiast na punkt opatrunkowy i wypoczynkowy, ściągnięto łóżka, pościel, czystą, białą bieleźnię, przygotowano środki lekarskie, najczulszą, najbardziej troskliwą opieką otoczono rannych, których obficie dostarczał pododcinek Cytadeli. Ulokowano lekarza, Stacha Hillera, wynaleziono mu do pomocy medyczkę, oddawszy obrońcom tylne, bezpieczne od kul pokoje — sami zajęwszy pokoje frontowe, na nieustanny ogień z Cytadeli narażone. Sposobem, już we Lwowie przyjętym i praktykowanym zasłonięto okna frontowe materacami, ale gwizd kul przebijał je z łatwością, łupiąc tynk na ścianach pokoju, tłukąc i rozdzierając na drzazgi meble.

Panował tu nastrój cichej i głębokiej powagi i wzruszającej zarazem dobroci, do czego tak przystosował się i wklinował weń Stach Hiller wraz z medykiem Franke i ich pomocnicą. Nasz śmiech i rozgwar młodości milkł, gdyśmy z Mondem, Helą Bujwidówną czy Boguckim wpadali tam na chwilę w przelocie, by pozdrowić rannych czy chorych, a nadewszystko, by zamienić kilka słów z zacnemi domu tego gospodarzami.

Siadało się wówczas przy skromnej lampce wina i omówiwszy najpierw sensacje bojowe dnia oraz te

skąpe, szczupłe wiadomości, jakie do Lwowa z głębi kraju dochodziły — zagłębiało się w miękkim fotelu, aby słuchać mądrego, głębokiego głosu pana Tomickiego, tak spokojnego niezwykle i opanowanego, gdy wokół co chwilę ostry strzał przerywał ciszę wieczoru.

WŚRÓD GRANATÓW I MIOTACZY MIN.

Odcięci jesteśmy od świata w zupełności. Już od sześciu dni niema Prusaków w Kongresówce, od 1 listopada Austriaków w okupacji i Galicji — a my zamknięci w lwowskiej twierdzy, oderżnięci od reszty kraju migotliwą, złowrogą linią ognia — teraz dopiero, po dwóch prawie tygodniach dowiadujemy się o cudownem zespoleniu ojczyzny.

Przyjeliśmy to jednak całkiem spokojnie. Powrót z Magdeburga Komendanta, obwołanie go naczelnikiem państwa, oddanie mu najwyższej władzy cywilnej i wojskowej — nas, starych legunów, którzy tu rzuceni zostaliśmy przez los na lwowski odcinek, nawet szczególnie w pierwszej chwili nie zadziwiło, ni wstrząsnęło. Takie to proste dla nas w swej naturalnej konsekwencji, tak się w marzeniach człek z tem oczekiwaniem i spodziewaniem żył, że przyjęliśmy wspaniałe nowiny tak, jakbyśmy na nic innego nie oczekiwali. Przypuszczam, że tak samo nikogo ze lwowian specjalnie nie zdziwiło, gdy począł na ulicach dudnić „Piłsudczyk“. Automobil pancerny, ze stali i żelaza w lwowskich warsztatach kolejowych przez spracowane dłonie robotników okuty, znak wszystko niszczącej siły i kierowanej wolą energii, nazwano „Piłsudczykiem“. Pancerny samochód, który nie wiadomo skąd

się wziął, kiedy został zrobiony, jaką wydzwignięty pracą... Jest „Piłsudczyk“ i basta! Jest pancerny, złowrogi, miażdżący potwór, idący w bój z nazwiskiem, wielkimi literami na sinej stali mazanem: „Piłsudczyk“. Inaczej nazwać go nie było można, to brzmienie słowa dla wszystkich jasne było i zrozumiałe aż nadto...

Spodziewamy się teraz w związku z ostatnimi wiadomościami lada dzień odsieczy z kraju, albowiem coraz jest ciężej. Ukraińcy przypuszczają ataki w różnych punktach miasta dzień po dniu, noc po nocy, chcąc nas za wszelką cenę wyczerpać, znużyć, przygnębić.

Na naszym odcinku „Cytadela“ upływają dni w zwykłej, już „normalnej“, a przecie tak twardej pracy, jakiej nie pamiętam z dni wielkiej wojny. Ukraińcy nas, to jest pododcinka Cytadeli, bezpośrednio nie atakują, jeno bijąc i drąc się na Szkołę Kadecką, zagarniają prawym zasięgiem swego skrzydła i nasze okopy.

Tak było 17 listopada, gdy o 9 rano poderwano nas alarmem, iż rotmistrzowi Bieńkowskiemu przerwano w Szkole Kadeckiej front. Zebrałem natychmiast swój pluton i biegiem, wśród ognia z Cytadeli, rwałem do okopów, które wyznaczone miałem na prawo od pływalni, tuż przy zbiegu ulic Kadeckiej i Herbutów.

Były tu dość głębokie okopy wzdłuż alei, frontem ku cmentarzowi Stryjskiemu zwrócone, wśród gęsto posadzonych drzew i krzewów łożatkami wryte. Zaledwie rozmieściłem żołnierzy po wnękach, od strony Szkoły przygalopowała „baterja“, t. j. jedna, zdobyta gdzieś osmiocentymetrowa polówka. Odprzodkowała wnet i wyrznęła dymiącym prochem kilka pocisków na róg cmentarza, gdzie tłamsiła się jakaś strzelanina, co miało pocieszyć nas, srogą nam jeno sprawiło przykrość. Złośliwi potem powiadali, że ognista polówka miała pociski o ja-

kieś milimetry mniejszego kalibru od swej lufy, więc nim włożono taki granat do komory, obwijało się go wpierw w artyleryjską onuckę, co właśnie sprowadziło na nas ogień oburzonych takim despektem Ukraińców. Faktem jest, że zaledwie szczeknęła raz i drugi, począł rozbrzmiewać w powietrzu ów sympatyczny, tak dobrze znany, drżący na strunie lotu poszum, i wnet serja ciężkich, ukraińskich szrapneli z ogłuszającym trzaskiem wyrznęła w nasz lasek, tuż przed okopy.

Rozpoczęła się wówczas niezgorsza zabawa. Piętnastki ukraińskie stały gdzieś bardzo daleko, bo kilka sekund upływało, nim za niskim, głuchym basem baterji dawał się słyszeć stalowy szum pocisków, a nasza połówka, poczuwszy pismo nosem, wnet wzięła koła za pas i razem z kanonierami „skroiła dęba“, na nas zwalając następstwa swej nieopatrznej interwencji.

— Kryć się — wołałem co kilka minut, gdy poważne basy piętnastek poczynają dudnić w powietrzu — i wnet głowy żołnierskie zapadały za sypką ścianę okopów, bo już za chwilę szrapnele siekły wokół gałęzie drzew. Tak świetnie strzelali, że pociski wybuchały 20—30 metrów przed okopami.

Gdy tak przez dłuższą chwilę zabawialiśmy się w ową ciuciubabkę i chowanego, usłyszałem w pewnej chwili nad sobą niski, chrapliwy głos Monda. — Serwus, Wacek — witał się swym zawsze wesołym głosem — masz jakie straty?...

— Nura, Bunek, nura do okopów — wrzasnąłem w odpowiedzi, bo świeży transport „kuferków“ chybottliwie ważył się już w powietrzu.

Mond z Helą Bujwidówną, która ustawicznie i niepoprawnie towarzyszyła mi w każdym obchodzie odcinka skoczyli za drz wa jak oparzeni. Wnet ślupy

dymu i porozdzieranej darni wyróżnęły w górę i przeraźliwy łoskot granatów łamał się wśród drzew.

— Nie lubię granatów — zaśmiał się Mond, który



Grupa obrońców odcinka „Cytadela”

Stoją od lewej: De Laveaux, Świtalski, Mond, Bujwidówna, Olszewski, Heyder.

choć w ogniu karabinowym poruszał się i zachowywał, jakby mu zupełnie brakowało jakiegoś nerwu czy komórki obawy i najzupełniej był nań nieczuły, nie lubił granatów, którymi dwukrotnie w czasie wielkiej wojny

poważnie był poturbowany. W ogniu piechoty zaś, w złych, kąśliwych wizgach kul, z grubą „lagą“ w ręku chadzał zawsze frontem ulicy Kadeckiej na oczach Ukraińców, którzy bili do niego, jak do tarczy. Lecz imponujący, nienaturalny wprost spokój tego oficera, łączył się do tychczas z nieprawdopodobnem szczęściem. Kule go mijały, przed jego nonszalancją zdając się mieć pełny i głęboki respekt.

Tym razem granaty Monda oszczędziły, choć były za nim trop w trop, najbezczelniej w świecie go przesładując. Druga serja wyrznęła nieco dalej za okopami, trzecia i czwarta na ulicę, deptając mu nieomal po piętach, ścigając go złośliwymi drzazgami gorącej, stali do samych drzwi jego kwatery.

Lecz były to już ostatnie salwy baterji ukraińskiej. Po godzinnym prawie ogniu, w którym na mój pluton dano ze 100 pocisków, gdy przestali bić, zostawiłem odcinek zastępcy, a sam skoczyłem po Monda, by zaciągnąć go do Szkoły Kadeckiej.

Tam położenie ponoś pyszne, przeciwnatarciem odrzucono Ukraińców, zdobyto karabiny maszynowe i kupę jeńców, lecz musiało się nie na tem skończyć, bo od pewnego czasu drżało powietrze od potwornych wybuchów, które raz po raz wstrząsały całą okolicą. Według informacyj, jakie Mond miał od łączników, Ukraińcy biją na Bieńkowskiego ciężkimi minami, co Helę wprawiało w prawdziwy zachwyty, jako że nigdy jeszcze nie widziała zbliżania min.

Bez sprzeciwu tedy zgodzili się na odwiedzenie Szkoły i po wydaniu dyspozycji ruszyliśmy się z naszej ulicy. Do pozycji Bieńkowskiego zbliżaliśmy się powoli, zmęczeni lataniną i pracą tego gorącego dnia, nasłuchując ciekawie wybuchów min. Szkoła Kadecka była już

w grubym wieczornym mroku, w którym co chwila łykało się czerwone światło.

Całą prawie załogę rotmistrza Bieńkowskiego rozłożono przed szkołą i poza nią, albowiem najęźsi nawet



Czujka pod Szkołą Kadecką.

i najbardziej niefrasobliwi chłopcy nie potrafili wytrzymać pół godziny tego piekła, jakie się tam wytworzyło od regularnego i miejscowego trzęsienia ziemi, następującego po wybuchu każdej miny, które co minutę z oszalamiającym, potwornym hukiem rozszarpały trzewia

szkolnych murów. Obeszliśmy z należytyim szacunkiem i niemniejszą ostrożnością dwie z nich, które nie eksplodowały i wchodziliśmy już prawie do szerokich drzwi, na którychby ani śladu szyb nie doszukał, gdy naraz olbrzymi płomień buchnął w budynku, a rozdzierający łomot, trzask, druzgocący ryk ekrazytu pozbawił nas na chwilę wszelkiej świadomości...

Pozostaliśmy tak przez dłuższą chwilę, nim jednocześnie postanowiliśmy szukać rotmistrza Bieńkowskiego poza obrębem murów. Mond rechotał swym gardłowym śmiechem, na temat zupełnego „nasylenia“ się wrażeniami minowemi i z nietajoną satysfakcją odsadził się od Szkoły.

Tak tedy w porządku się wycofawszy z onej eksponowanej pozycji, znaleźliśmy Bieńkowskiego za boczną kondygnacją gmachu, otoczonego swemi oficerami. Rotmistrz klnie jak szewc, albowiem te paskudne miny fatalnie mu demoralizują chłopców. Nie strach, nie obawa ich demoralizuje — bo nawet do tej pory nie ma wśród żołnierzy ani jednego rannego z powodu tych min — lecz to przygnębiające roztrzęsienie nerwów, to rozchybotanie moralne, następujące po każdym takim, z piekła rodem, wybuchu miny, które nietylko pozbawia normalnego, fizycznego środka ciężkości, ale drze ośrodki nerwowe na najdrobniejsze włókna samem tylko uderzeniem i wstrząsem powietrza. To też zanim chłopaki przywykną i oswoją się z tym rodzajowym obrazkiem wojny okopowej, chodzą narazie jak błędni, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. A i dowcip wśród nich, którym od czasu do czasu usiłuje ten i ów ratować położenie, jest więcej niż wątpliwy...

P R Z Y S I Ę G A.

Spałem tej nocy we frontowym pokoju naszej kwatery, przy ulicy Kadeckiej. Choć chłodne, ostre powietrze wentylowało pokój przez okna, powybijane kulami, przykryty niezgorszą ilością koców szczęśliwie zimna nie odczuwałem.

Bładła już noc, gdy mię natarczywie zbudzono, bym zmienił podporucznika Boguckiego, sympatycznego nad wyraz, smagłego lwowianina. Po ładajakiem uporządkowaniu swego doczesnego wyglądu — wyjrzałem na świat.

W nocy spadł obfity, puszysty śnieg, który pokrył naszą ulicę niepokalaną bielą, zaznaczoną jednym tylko wąskim śladem wedet i przechodzących zmian. Blanki złowrogiej Cytadeli, jaskrawo swą brudną czerwienią odcinające się od radosnej białości śniegu, prześwietlały przez grube, puszyste okiście gałęzi drzew, uginających się pod ciężarem śnieżnego opadu. Groźna przestrzeń, opadająca równą płaszczyzną ku pływalni, jaśniała teraz nietkniętą, nieruchomą powłoką bieli, od której lisiemi krokami szła głucha, tajemnicza cisza, rozpostarta w senem, omdlałem z rozkoszy powietrzu.

Zawieszenie broni! Lwów przysypany śniegiem zamarł i zastygł w bezruchu. Znikąd nie dolatywał naj-

słabszy choćby znak życia — wszechobecne milczenie pokoju ogarnęło miasto od krańca po kraniec.

Ulica Kadecka, „nasza ulica“, dziwny tego dnia przedstawiała widok. Popod hardemi murami Cytadeli spacerowali pełni swobody młodziutcy żołnierze, przybrani w swe przydługie płaszcze, śmiech gonił się i lśnił w pobłyskach i skrach słonecznych promieni, co chwila zrywał się jędrny, radosny śmiech, naprzekór Ukraińcom, naprzekór zmęczeniu, naprzekór tej dziwnej pani — wojnę na śmierć porywającej młode żywoty żołnierskie...

Koło południa wyprowadziłem pluton na ćwiczenia. Po raz pierwszy od chwili, w której chwyciły te dzieciaki za broń — mieli się żołnierskiej uczyć musztry z karabinami. Do tej pory tylko z nich strzelali, nie mając zielonego przeważnie pojęcia o tej „najważniejszej“ rzeczy, o karabinowej musztrze.

W jasnym blasku słonecznego dnia, gdy spokojnie można się było przyrzuć tym ku słońcu obróconym twarzom — przerozmaite miały duszą uczucia. Bolesny skurcz serca chwilami wdzierał się w pierś, gdy się w pełnym świetle południa widziało aż nadto wyraźnie te wychudzone, wyblakłe twarze lwowskich, młodych obrońców, tych niewinnych dzieciaków, wprzęgniętych w krwawą pracę wojny. Na dwudziestu ośmiu ludzi w plutonie — dziewięciu było uczniów. Najmłodszy z trzeciej — najstarsi z siódmej i ósmej. Dalej pięciu żołnierzy austriackich, zaplątanych w tę nową wojnę, gdy już po tułaczce żołnierskiej znaleźli się w domu, dwu przybłędów-legunów, którzy od roku w wiadomy im sposób unikali c. i k. wojskowych władz w sposób nader skuteczny, reszta zaś, to wszelaka zbieranina lwowskich „batjarów“ bez charakterystycznych przynależności, bez wiadomego zajęcia, bez specjalnej przeszłości.

Terminatorzy, gazeciarze, czeladnicy miejskich, czy kolejowych zakładów, obywatele świeżego powietrza — różni i różnych zajęć, jako też i zainteresowań. Żaden z nich nie miał więcej ponad dwudziestkę — a wśród całego zresztą plutonu rej wodziła panna Janka, tęga pannica z seminarjum nauczycielskiego, przed którą



Pluton ppor. Boğuckiego na odcinku pod Cytadela.

mores czuli przygodni towarzysze broni, jako że panna w potrzebie nie gorzej niż z krótkiego manlichera potrafiła wygarnąć i w pysk.

Ta tedy różnorodna zbieranina stanęła teraz w dwurzędzie na środku zasypanej grubo śniegiem ulicy, by się „zabawiać w wojsko“. Szło to nad podziw pomyślnie.

„Wojsko lwowskie“ niewiadomo kiedy i jak poduczyło się już przeróżnych chwytów, więc nie minęło pół godziny, jak równy trzask karabinów gonił wślad za głosem komendy.

Pluton mógł z przepisaniem formalnościami złożyć wojskową przysięgę.

O dwunastej zebrały się wszystkie plutony Monda. Z restauracji, z narożnika ulicy Lenartowicza przymaszerował pluton pierwszy, wymęczony, zharatany nad wszelką miarę. Ostali się tam już tylko najtwardsi i najbardziej uparci i zdeterminowani, to też widać było, że przeważał wśród nich wiek poważniejszy, „stara“ naogół wojna, choć i dzieciarni nie brakło. Było dwu profesorów gimnazjalnych, kilku akademików, reszta zaś wykolejenci z różnych frontów, stare i bywałe praktyki od wojny. Byli wśród nich sprawni, twardzi a pyskaci infanterzyści z nad Piawy, Styru i Marycy, byli tacy, co pono i koło Verdun pod ziemią ryli, byli i kawalerzyści i od ciężkich dział kanonierzy. Stali teraz w jednym szeregu, zwołani niespodzianym alarmem strzałów, jaki zatargał ich miastem w dniu 1-yim listopada, skrzyknięci wszyscy jednakiem głosem serca. Stali bok o bok z mikrusami, którzy do tej pory wojnę znali jeno z kina, noga w nogę stali obok przez tyle lat pogardzanych cywilów, obok profesorów, doktorów, akademików, którym wszystkie ich filozoficznej mądrości pełne patenty nie dały tego, czem oni, „stara wojna“, od lat przesiąkli do głębi. W stalowy płaszcz odziany ołów kuli jednaką ich wszystkich nauczyła mierzyć miarą...

Mond odbierał przysięgę na obronę Lwowa. Do ostatniej kropli krwi... do ostatniego tchnienia!...

Z wyprężonych, wzruszonych piersi twardo padaly słowa, rytmicznym, chóralnym głosem skandujące brzmienie przysięgi, a ponad odkrytymi głowami stało czyste, aż białe niebo. Promienie słońca łamały się i lśniły na linjach karabinowych luf, które się lekko, leciuchno chwiały pod drżącymi rękami żołnierzy, surowem tchnie-



Okopy polskie u wylotu ulicy Łazarza, na podocinku „Cytadela”

niem wiernych, przysięgłych oczu wpatrzonych w twarz polskiego oficera.

Niezwykła, denerwująca cisza tkwiła nadal w powietrzu, gdy z por. Mondem, rtm. Bieńkowskim i Rom-

kiem Heyderem¹⁾ szedłem do Cytadeli. Po południu mieliśmy chować sześciu zabitych w ostatnich dniach żołnierzy, należało więc zawiadomić Ukraińców, by się nie denerwowali salwami, które na pogrzebie żołnierskim trzeba było dać. Na gorące prośby wziął Mond ze sobą również i Romka Heydera, młodziutkiego siódmoklasistę, który z nieprawdopodobną odwagą i zaciętością walczył o swój Lwów. Mało mu było normalnej pracy ogniowej, więc z Helą Bujwidówną przekradali się codzien przez im tylko znane podwórza, płoty, mury, dachy i kominy od strony ulicy Bogusławskiego i tam zadekowani w jakimś dymniku, bili do Ukraińców na dziedziniec Cytadeli jak w bęben. Nazywało się to u nich „polowaniem na zasiadkę“, czem się oboje zajmowali jak najświetniejszym sportem. Mimo zakazów i awantur, jakie im z tego powodu czynił Mond — wpaść bowiem mogli w zasadzkę niesłychanie łatwo — nie przestali uprawiać tego namiętnego procederu. Teraz Heyder szedł z nami, by od „ich“ strony, od strony Cytadeli wypatrzyć swoje stanowisko i ewentualność „nakrycia“...

Szliśmy ulicą Bogusławskiego i Łazarza. Głuche, puste, bez żywego ducha kamienice, podziurawione kulami na sito, osypane ziarnistym, sypkim tynkiem wzdłuż murów. Szczególnie jedna strona ulicy Bogusławskiego porozdzierana została długimi rysami, a każdy występ muru do wysokości człowieka strzaskany był kulami docna. Nie ostała się tu w żadnym oknie ani jedna szyba, tak samo jak i na ulicy Łazarza. I ta ulica przedstawiała niemniej żałobny i rozpaczliwy widok, spotęgowany jeszcze przy jej wylocie rozwaloną jezdnią, z której powyry-

¹⁾ Roman Heyder, uczeń gimn., zginął w walkach lwowskich.

wany bruk i kamienne płyty użyte tu zostały na ufortyfikowanie okopu naszej placówki.

Z białą chusteczką na bagnecie karabina poprzedzał nas twardym krokiem Romek Heyder, jednak chusteczka okazała się troskliwością zbyteczną, gdyż posterunek ukraiński, ujrawszy nas idących ku Cytadeli — ani drgnął. Gdyśmy podeszli, pociągnął za sznurek i wnet wybiegł młody, zgrabny podoficer, z grzecznym pytaniem na ustach. Zakomunikowaliśmy mu chęć widzenia się z oficerem i po krótkiej chwili zjawił się pan „oberleutnant“ w austriackiej jeszcze czapce, na której, ku naszemu zdumieniu, miał niebiesko-żółtej wstążeczki ujrzelśmy krwawą czerwień kokardy. Nie pytaliśmy jednak — a porucznik, przyjmawszy nas z wyszukaną grzecznością, oznajmił po ukraińsku, że natychmiast o przyczynie naszych salw zawiadomi swego komendanta.

Rzadko miałem sposobność słyszenia ukraińskiego języka. Ten, którego używali Rusini, spotykani na szlakach wojny, w legjonowych walkach gdzieś nad Stochodem czy Styrem, nie sprawiał na mnie specjalnego wrażenia. Teraz natomiast, gdym usłyszał ten dźwięczny, choć surowy język, w którym co drugie prawie słowo zahaczało o polski źródłosłów — ścisnęło mi się serce, a bratobójczość tej tragicznej walki z narodem, do którego nigdy nienawiści, ni nawet niechęci się nie czuło, uderzyła mię boleśnie i przykro. Wrażenie to nie opuściło mię już przez resztę dnia, spotęgowane zwykłą, tak nieprawdopodobnie często w tych walkach lwowskich odbywaną ceremonją pogrzebów żołnierskich zwłok. Daliśmy teraz ostatnie salwy nad świeżymi grobami młodych towarzyszków broni, niewinnych dzieci pobitych w wojnie, której nikt ani z nich, ani z nas nie chciał.

Jednak trudno — nie myśmy tę wojnę rozpoczęli, nie myśmy do niej dali złowrogie hasło...

ODSIECZ PIĄTAKÓW.

Odsiecz! To krótkie, tak długo, tęsknie i niecierpliwie wyglądane słowo zerwało nas dzisiaj na nogi swem radosnem, triumfalnem brzmieniem. Wpadł z nim do kwatery łącznik z Domu Techników, a że nic, krom samej wiadomości, powiedzieć nie umiał — pchnął nię zaraz Mond po szczegółową relację, sam roznosząc nowinę posterunkom, placówkom, plutonom, skąd natychmiast zrywało się radosne, długo niemilknące hura!...

Najkrótszemi drogami gnałem przez ulice, wreszcie zemocjowany, zgrzany, wpadam do porucznika Bujalskiego. Jaka odsiecz, skąd? Kto?...

— 5 pułk piechoty legjonów z Krakowa!...

Przysiadłem... Mój stary pułk, piątacka, legjonowa wiara. Zarzuciłem Bujalskiego pytaniami, lecz on sam mało co wie, a cieszy się na kredyt. Tyle tylko wie, że piątacy krwawili się już począwszy od Przemyśla, że zdobywali miasto po mieście i że prowadzi grupę odsieczową kapitan Tokarzewski-Karaszewicz...¹⁾

Z burzą szczęścia w piersiach pogałem zpowrotem na ulicę Kadecką. Bunek — wołam zdaleka do Monda — piąty pułk, leguny, Karaś prowadzi!... Odpowiedział mi na to jeden ryk radości...

¹⁾ Obecnie generał brygady.

Po obiedzie, zostawiwszy dyspozycje i rozkazy zastępcom, siadamy na wycyganioną skądś przez Monda bryczkę i ostrym kłusem, już o zmierzchu zbliżamy się ku dworcowi. Z Głównego odesłano nas na Czerniakowski, gdzie z ciemnej, długiej linii wagonów towarowych dolatywał już tęgi, chóralny śpiew żołnierskiej wiary.

Za chwilę ściskaliśmy się już z piątakami, srogo przybranymi w ciężkie, stalowe hełmy niemieckie. Jest Bortnowski¹⁾ kapitan, Włodek Bochenek²⁾, Leszek Broniowski, Münnich, Dziadosz i kupa innych oficerów, a ponieważ akcja na Lwów jeszcze przez piątaków nie została rozpoczęta — przeto Mond brevi manu zaprasza całą ich bandę na swój odcinek, na wieczór.

Hela Bujwidówna do wieczora miała prawdziwe urwanie głowy, jako że na nią spadł obowiązek i zaszczyt przygotowania przyjęcia dla gości. Rozesała tedy gońców do wszystkich swych cywilnych i wojskowych przyjaciół, którzy bądź mieli coś wspólnego z intendaturą lwowską, bądź konspiracyjnie pozdobywane zapasy dworcowe — dość, że po niedługim czasie poczęły napływać z różnych kierunków miasta butelki, butelczyny i butelczki o różnorodnym fasonie, rodzaju i wymiarze, jakieś poza tem wędliny, sery, puszki, konserwy i co tam ludzkie łakomstwo i zapobiegliwość wymyśliły. Uczta zapowiadała się lukullusowa...

Co się na niej działo, tego zbyt nie pamiętam. Pograżyliśmy się docna we wzajemnych opowiadaniach o swych walkach i przejściach, co chwila nadarzała się

¹⁾ Bortnowski Władysław, ob. płk. Szt. Gen.

²⁾ Bochenek Włodzimierz, płk., zginął w katastrofie samochodowej we Francji w r. 1925.

jakaś szalona okazja, by wypić równie docna takie czy inne zdrowie.

Zbudziło mię o 4-ej nad ranem tubalne wołanie Monda: Wacek, idziesz z nami?..

— Idź do stu djabłów... Dokąd?..

— Atakujemy! Razem z 5-tym pułkiem...

Zerwałem się na nogi i pierwszym zorganizowanym ruchem pochwyciłem butelkę z winem, którą mi skwapliwie zaraz odebrano. Niezgrszyć jednak łyk, jaki zdążyłem pociągnąć — postawił mię odrazu na nogi, a mroźne, rzeźwe powietrze ocuciło do reszty.

Jeszcze noc. Przez wybielony śniegiem park Kilińskiego i powystawowy plac maszerujemy w głębokiej ciszy na ul. Poniatowskiego, gdzie mamy stanąć w jakiejś bursie. Za dwie godziny, o 6-ej rano, upływa termin zawieszenia broni i natychmiast rozpoczyna się akcja.

Po kilku kwadransach marszu — wchłania nas ogromny budynek bursy. Za chwilę pod gmach, na ulicę zajeżdża półbaterja, którą szybko i sprawnie ustawiają przybyli z krakowską odsieczą artylerzyści.

Nasz oddział zajął wyloty okien, frontem ku ulicom św. Zofji i Snopkowskiej, pierwsze i drugie piętro zajęli groźni strzelcy, na trzecim przyczaiły się szyje karabinów maszynowych. Ukraińcy przypadli o kilkaset kroków od nas, wzdłuż ulicy Snopkowskiej i św. Zofji, gdzie bokami kamienic wiją się ich okopy.

Punktualnie o 6-ej rano rozpoczyna się naraz ostry, gwałtowny ogień z obydwóch stron. Nasze maszynki rozpoczęły zapamiętałe swą pracę, od której trzęsie się budynek bursy, raz wraz z pobrzękiem szyb, dźwiękliwym, donośnym hukiem, poszczekują z ulicy połówki półbaterji. Gdy dzień uczynił się już zupełnie jasny — chłopcy zorganizowali istne polowanie na sylwetki Ukraińców,

którzy prażeni ogniem zgóry rzadko odpowiadali, częściej natomiast przemykali się chyłkiem ku grupie karnie-
nic, w których znikali jeden po drugim.

Tymczasem główna, rozstrzygająca akcja, toczyła się zwolna, powoli, jednak bez przerwy przez cały dzień 21 listopada. Wiadomości o posuwaniu się ataku co chwila wybrzękiwał telefon polowy: szturmowe, twarde kompanje 5 pułku posuwały się w ustawicznym ogniu od południa w kierunku na Łyczakowski dworzec, inne oddziały szły od północy i od góry św. Jacka.

Na lewo od naszego odcinka roznosił się prędkimi echami nieustanny a syczący łomot manlicherów. To linja rotmistrza Bieńkowskiego, który bije ogniem od strony Puławskiego i Dąbrowskiego. Wybrałem się tam pod wieczór, by wywiedzieć się o ich sytuacji i czy nie szykują się jakie niespodzianki. Po kilkunastu minutach znalazłem się z dwoma żołnierzami na odcinku rotmistrza.

Kurzyło się tu od ognia. Ukraińcy bili zdrowo, tynk zsypywany kulami bielił się wszędzie pod murami domów a i z naszej strony rozgrzani i podnieceni walką żołnierze — pracowali z takim zapałem, jakby to był pierwszy dzień lwowskich zapasów. O Bieńkowskiego, którego chłopcy uwielbiali za jego niezachwiany spokój — nie mogłem się dopytać. Znalazłem go wreszcie w prześlicznej, wytwornej willi, na ulicy, objętej najsilniejszym ogniem.

Przed wejściem stał w załamaniu muru łącznik, który zarazem był posterunkiem, a w salonie, w półmroku, za ledwie nieco rozświetlonym płomieniami świec, na miękkim fotelu siedział rozmarzony rotmistrz Bieńkowski, słuchając jakiegoś Griega czy Beethovena. Grała młoda niewiasta na fortepianie, reszta towarzystwa nie poruszyła się z miejsc, gdym brudny, utyłany, w hełmie z opu-

szczoną podpinką, z granatami u pasa stanął we drzwiach. Bieńkowski uśmiechnął się na mój widok.

— Przynosi pan wojnę ze sobą...

— O której, jak widzę, pan rotmistrz całkiem zapomniął. Zresztą — dodałem z wątpliwą galanterją, gdy wzrok mój wyszedł jeszcze jakoweś postacie niewieście — o wojnie tu całkowicie można zapomnieć...

— Nic tu u nas ciekawego, nudna strzelanina — odezwał się rotmistrz, domyślając się celu mego przybycia. — Wściekam się również jak i wy tam u Monda, aż wszystko zrobi wasz 5 pułk, a Ukraińcy szlachetnie się od nas „odłączają“.

— U nas to samo. Grzejemy z góry i czekamy akcji z równą niecierpliwością...

Fortepian tymczasem ścichł. Z poza okien były ostro, nierówno karabinowe strzały, a płomienie świec co chwila się pochylały, gdy huk bliskiej eksplozji granatów z bolesnym jękiem leciał przez ulicę...



Spaliśmy tej nocy z 21 na 22 listopada na podłogach sal, ladajako poobwijani w płaszczce. W czasie tego skwapliwie skradzionego snu, ktoś kogoś budził, ktoś mi deptał po nogach, ktoś klął i złorzeczył w rozespaniu. Spałem źle, budząc się ustawicznie, bo i strzały zupełnie ucichły i głęboka noc zawisła nad Lwowem, pełna dręczącej, ciężkiej niepewności. Wiedzieliśmy, że 5 pułk posuwa się ciągle naprzód, okrążając miasto, jednak niepokój tkwił w nas, jak zły sen tej nocy. Gdzieś dopiero nad ranem zerwało się z dolnych pięter podniecone wołanie, radosny krzyk: alarm, alarm... Ukraińców niema!...

Momentalnie wypadliśmy na ulicę. Zbiórka w kolumnie, patrole wpród! Za chwilę meldunki sypią się ze wszystkich stron, że Ukraińców ani słychu...

Świt powoli począł osrebrzać park delikatnym pyłem światła. Pogodne niebo jaśniejje coraz bardziej, lekki mróz.

Maszerujemy kolumną przez ulicę św. Zofji ku ulicy Zyblikiewicza. Okopki ukraińskie puste, porzucone skrzynki z amunicją, aparaty telefoniczne, karabiny — świadczą o nagłym, pośpiesznym odwrocie.

Za chwilę, wśród cichych, głuchych kamienic, wśród pustych, bezdusznych ulic buchnął radosny nasz śpiew:

— Hej! strzelcy wraz, nad nami Orzeł Biały...

Kolumna idzie twardo, równy krok dudni po ulicach, czwórki równają, głowy do góry — a śpiew mocny, zwycięski, radosny leci przez ulice, grzmiące wśród murów budzi echo, wpada do mieszkań, do bram, na piętra i strychy, do piwnic i poddaszy...

Trzask naraz ze wszystkich stron, głucha przed chwilą ulica zatrzęsa się zgnęła na głos żołnierskiego śpiewu. Z hukiem okiennych ram, z brzękiem szyb wypchniętych gwałtownym odrzutem rąk pękają balkony, puste bramy, dziesiątki okien zaludniają się w jednej chwili ludźmi, którzy poczynają coś krzyczyć warjacko, histerycznie szlochać, bić jakieś brawa, śpiewać, szaleć, a za sekundę na maszerującą wśród tego nagłego piekła kolumnę sypią się z okien kwiaty, pudełka papierosów, tytoniu, powiewać poczynają ręce i chustki, nieopisany zamęt radości ogarnia dom po domu, ulicę po ulicy, jakby je ogarnęła nagle jakaś furja szaleńczego wesela...

Z domów wypadają ludzie pijani od szczęścia, napół ubrani, nieprzytomni. Kolumna przesuwają się już z trudem, rośnie pęczniejje, nabrzmiewa, gdyż goni po

bokach, za nią i przed nią tłum, powiększający się z sekundy na sekundę, z minuty na minutę. Żołnierze nie mogą nadążyć odpowiadać, nie są w stanie dojść do słowa, nie słyszą nic, tylko głowy hardo podniósłszy, idą rytmicznym, równym swym krokiem, choć im zalewają oczy łzy szczęścia i pręży się pierś z bezmiernej, radosnej dumy zwycięzców...

W pierwszej czwórce kolumny maszeruje nasza paka oficerska: Mond, Adaś Świtalski, Bogucki, Olszewski i ja — a w środku Hela Bujwidówna w swym polowym płaszczu i z karabinkiem, przewieszonym przez ramię. W pewnej chwili zabiega nam drogę jakiś starszy, dobrze podtatusiały jegomość, macha, trzepie rękoma, krzyczy i płacze — wreszcie chce rzucić się Mondowi w ramiona, lecz znacznie wdzięczniejszy obiekt nagle obok ujrawszy — chwyta Helę w szerokie objęcia...

Marsz, na chwilę przerwany tym wesołym epizodem — zostaje wkrótce zupełnie prawie uniemożliwiony. Im głębiej wkraczamy w centrum miasta, tem więcej ze wszystkich stron ściągają śpiewających oddziałów i tem większe tłumy ogarniają żołnierzy. Ani rusz się opędzić zacnym kobiecinkom, które z garnuszkami, konewkami, dzbankami drepcą wokół kolumny, aby się uszczęśliwić podaniem choć jednemu z obrońców kubka gorącej kawy czy herbaty, znajomi, krewni, przyjaciele poznają swych bliskich w szeregu, więc nowe krzyki, rozbijanie naoślep czwórek, branie w ramiona i ściskania. W miarę czasu jako tako jeszcze zwarta kolumna poczyna się rozбивać, rozpryskiwać, jak żwawy, radosny nurt wodny, kiedy wpadnie znagła na rozbiegającą się pochylnię, a maszerujące chłopaki coraz większą zdradzają ochotę, by choć na chwilę, choć na moment, tak jak idą, brudni, osmo- leni, z karabinami i granatami przy pasach, skoczyć do

swych domów, wpaść w ramiona stęsknionych i dumnych ze swych synów matek...

Lecz trzyma ich karność, wdrożona przez te trzy tygodnie walk. Więc maszerują w radosnem upojeniu, wśród rozfalowanych, wzburzonych jako morze tłumów, bez końca wiwatujących, pijanych szczęściem i weselem...

„GDZIE TWE SOKOŁY, KOMENDANCIE”.

W nawale wrażeń, w natłoku przeżyć, spraw i niecodziennych zdarzeń, w błyskawicznym tempie historycznych, wielkich chwil — nie miałem czasu, ni sposobności zastanawiać się nad tą kolosalną zmianą, jaka nas rozdzieliła od ostatniego dnia października 1918 roku...

Dzisiaj dopiero, gdy dorwałem się do całej paczki pism, przywiezionych mi przez pierwszą „okazję” z Krakowa, gdy przerzucałem wielkie płachty gazetowych kolumn, spokojną czernią liter tyle państw grzebiących — wówczas uświadomiłem sobie dopiero w całej pełni ów niesłychany, rozumowanej logice niedostępny, w brzmieniu swem nieprawdopodobny, praktycznie przez tyle lat nieosiągalny, a przecież tak prosty fakt, że Polska jest niepodległą, że mamy wolną, zjednoczoną republikę Polską...

Chciwie wczytywałem się we wszystkie wiadomości, jakimi kraj żył przez te trzy z górą tygodnie, od jakich burzył się, rewoltował, prężył, gotował do nowego życia. Lakoniczne wiadomości z frontu zachodniego. Podniecająco krótkie depesze, w których przed chwilą zamarł krzyk rozpaczy, a rozbrzmiewał jeszcze przyśpieszony, niespokojny oddech milionów żołnierskich piersi. Krzykliwe tytuły ponurych hurgotów, armatnich, w pośpiechu

staczanych z pozycji i nerwowy tekst opisów wślad za ostatnią, migotliwą rakieta odrotu pisanych.

Odwrót i klęska!... odwrót coraz gwałtowniejszy, coraz bardziej pośpieszny i rozpaczliwy. Wali się niezwykczona armja, pękają tarcze Hohenzollernów, w które niepoHAMowanie a szybko i dźwiękliwe bije francuski miecz, pobici stary Hindenburg, uparty Ludendorff, twar dy Mackensen, trzeszczą przeguby dłoni w rozpaczem załamaniu rąk... Przez „hinterland“ przechodzi krótki szloch, a poza mgłą beznadziei łez, palą się już złowrogie, nienawistne oczy buntu...

Kapitulacja!... Wśród ciemnej listopadowej nocy biały błysk reflektorów, pędzących ku francuskim pozycjom automobili — oświetla trupim blaskiem szare, bez kropli krwi pola i wzgórza, na których wije się długi, głęboki wąż pozycji i drutów. Biała chorągiew trzepie się i drży w powietrzu, trębacz wygrywa sygnał.

Jakże ponuro, jak złowieszczco rozlegał się ten srebrzysty ton trąbki parlamentarjuszy niemieckich, którzy wśród głu chej, listopadowej nocy wysiedli przed francuskimi pozycjami, by prosić o zawieszenie broni...

Inaczej zwały się z nóg Austro-Węgry. Raczej przegniły i rozsypały się jak zbutwiałe próchno. Ni wielkości, ni godności w upadku tym nie było, a tylko obrzydły strach, bezsilne, nieprzytomne szamotanie.

Na tle tej walącej się w gruzy niedawnej potęgi, na tle upadku zaborców, tak straszliwej pamięci dla tylu polskich pokoleń — wyrasta u nas, olbrzymieje, gigantycznych nabiera rozmiarów — postać Józefa Piłsudskiego.

Komendant, wracający z Magdeburga! Entuzjazm stolicy, radość i duma rozpierająca pierś — i pochwylenie broni przeciwko najazdowi w dniu, w którym Józef Piłsudski stanął na polskiej ziemi...

W ciągu jednej nocy Niemcy wyrzuceni zostali z granic okupacji. Załadowani do pociągów, bez broni, bez sławy, z wściekłością bezsilną w duszy opuścić musieli ów tyle pogardzany a tak łakomy „Polenland“, karmiący ich swą własną, rodzną ziemią przez tyle długich miesięcy. Eskortowane przez dzieciaków, uzbrojonych w ich własne, niemieckie karabiny, pociągi za pociągami przekraczały graniczne słupy...

Józef Piłsudski Dyktatorem!... Naczelnikiem Państwa i Wodzem Naczelnym!... Rada Regencyjna pośpiesznie mu oddaje całą władzę cywilną i wojskową. Rządy nad milionami, nad całym krajem, nad Polską obejmuje Wódz, nasz Brygadjer...

Gdybyście mogli doczekać, towarzysze broni, którzyście padli na polach bitew, w krwawym, ostatnim dla was boju. Kości wasze rozsiane po jarach Łowcówka i Mołotkowa, nad bez szmeru płynącą „wierną rzeką“, w mrocznych głębinach dolin karpackich, w sandomierskich, urwistych wąwozach, nad Styrem, Stochodem i Bugiem.

Gdybyście mogli — powstałibyście teraz wszyscy ze swych zaklętych, opuszczonych grobów, z pod białych, brzoźowych krzyży żołnierskich i nie bacząc na swe okrutne, śmiertelne rany, raz jeszcze poszlibyście na zwycięski bój.

Nie zmarnowała się wasza krew, nie poszła na darmo, nie uronił jej Wódz ni kropli nadaremno. Użyźniliście nią zeschnięte, polskie ugory, zwilżyliście krwawą rosą swych ran i dziś możemy zbierać radosny, urodzajny plon. Białe krzyże brzoźowe lśnią w blaskach słonecznych, niby rycerskie miecze w ziemię po walce zatknięte, sztandar narodu spłowiwały i zblakły, zabarwiony purpurą świeżej krwi łopoce zwycięsko w powietrzu...

„Gdzie Twe sokoły, Komendancie! Drapieżce wychowałeś i na lot puściłeś — w walkach i trudzie rozkwitające dusze, hartem i pogardą śmierci opancerzone — gdzie Twój chłopcy, Wodzu! Tylu nie wróciło do Twojej żelaznej dłoni i nigdy już nie wrócą z gonitwy bitewnej, z ugorów jałowych, nad którymi wrzask jeno płaćstwa krąży!...“¹⁾).

Nie krążył już będzie nad nimi wrzask płaćstwa — przyjacielu. Rozdzwoni nad nimi swą nieśmiertelną wiosny pieśń skowronek szaropióry. Dzwonić im będzie świegot ptaszęcy z jasnej płynącej przezroczy nieba i usłyszą go w cieniu swych dołów śmiertelnych druhowie nasi. Oracz zgrzytliwym pługiem nie zorze ich zapomnianych grobów, skiby czarnej, urodzajnej ziemi nie zawała w niepamięć żołnierskich cmentarzysk. Biały krzyż nie zbutwieje, nie porosną zielskiem kurhany, nie będzie szukał zapomnianych kości wnuk ni syn, z rozpaczą duszy, w skurczu serca bolesnym, głosu pobitych ojców z za grobu słuchający...

Stanie na straży ich kości państwo polskie, Rzeczpospolita Najjaśniejsza. Szum morskich fal, bijących o polski brzeg tęsknotę ich uciszy, tatrzańskich turni obejmie ich cień od południa strony. Szczęk karabinów pogranicznej straży z nad Odry i poleskich błot dojdzie radosnem ich echem.

Lekką wam polska ziemia będzie — towarzysze bojów. Zapomnicie o krzywdach, o udrękach bolesnych, uciszą się nieukojone dotąd serca wasze. Spokój nad wami zagości i ramiona waszych krzyżów brzożowych

¹⁾ Ustęp ten przytoczony został z pośmiertnego wspomnienia napisanego przez kpt. Falkiewicza Stanisława o oficerze I Bryg. Leg. Polsk. kapitanie Sławie-Zwierzynskim.

błogosławić będą tę ziemię polską w jasny, słoneczny dzień i w księżycowe, srebrne noce. Na zawsze już, po wieków wiek...

Niepodległe państwo polskie, Rzeczpospolita...

Powtarzam te słowa po wielokroć, nie mogę się od ich słodkiego brzmienia oderwać. Już nie w odezwach, nie w deklaracjach, nie w postulatach i programach. Jest sobie i już. Dla siebie. Będzie miała, już ma — swe bataljony, pułki, dywizje, swe sztaby, generalicję, naczelne dowództwo, ministerstwa. Działa, czołgi, aeroplany, pociągi. Radjostacje i własne urzędowe komunikaty. Rząd i Sejm, Naczelnika Państwa...

Przestaną nas wręczcie, bezdomnych dotąd żołnierzy umęczać w długie noce rozterki, odjęta zostanie udręka Wodzowi. Nie będzie już sam, na naszych tylko sercach wsparty. Wola jego ogarnie cały kraj, posłuch obejmie miliony. Nikt mu pod nogi nie będzie rzucał kłód, nikt sabotował. Spragniony naród własnej, polskiej swej władzy — radośnie spełniać będzie jej nakazy. Popłyną pieniądze do skarbowych kas, pójdzie rekrut wspaniała do szeregów, zakwitnie wszędzie praca, wysiłek radosny i twórczy. Nad podziw bujne i piękne wyrośnie zboże, dla wszystkich, którzy pragną, w nadmiarze starczy. Nikt go już nie wywiezie do niemieckich miast, zostanie złota, ciężka pszenica, pokotem się kłaść będzie młode żyto, radosny głos cepów po klepiskach omłot swój jeno Polsce zostawi...

Dolatuje przez okno szcęk karabinów, razem przy nogach stawianych. Łamie stalową ich linię krzyk rozkazu, twardo uderza w ziemię żołnierski krok, donośnym głosem śpieszy się odliczanie. Salutuje wyprostowany na baczność sierżant, jako pluton na ćwiczenia gotów — ludzi trzydziestu siedmiu...

W SWYM DAWNYM PUŁKU.

Zbiegło na ćwiczeniach i musztrach kilka dni i czas było — po załatwieniu niezbędnych formalności — zameldować się w swoim starym, piątym pułku legjonowym. Mond ze swą kompanją „cytafelską“ przydzielony został do formującego się pułku lwowskiego, w którego skład weszły wszystkie oddziały z licznych doniedawna odcinków Lwowa, jak „Cytadela“, „Szkoła Kadetów“, „Bem“, „Góra Stracenia“, „Szkoła Sienkiewicza“.

Żołnierze z tych oddziałów długo jeszcze po wcielenu ich do jednego pułku nosili na lewym rękawie białą przepaskę z zaszczytną dla nich nazwą odcinka, którego bronili, — z wyjątkiem jedynie obrońców odcinka „Kulparków“. Ci, z łatwo zrozumiałych względów napisem tym się nie pysznili — wobec czego poszło, iż ci wszyscy obrońcy Lwowa, którzy żadnej opaski nie mieli, pochodzili z Kulparkowa...

Pożegnawszy się tedy godnie z dotychczasowymi towarzyszami broni — przydzielony zostałem do III bataljonu 5 p.p. leg. Po kilku dniach pobytu w Krakowie, gdzie musiałem zlikwidować swe mieszkanie u ks. prof. Zimmermanna i w ogólności swe cywilne sprawy oraz długi, które pokryłem z pierwszej gaży oficerskiej z kasy państwa polskiego otrzymanej (czego moi wierzyciele nie

docenili w dostatecznej mierze) — wyjechałem do swego bataljonu, który dla zupełnego sformowania się, stał nie we Lwowie, a w Żurawicy pod Przemyśłem.

Nie mogłem się dość nacieszyć, obserwując gorączkowy ruch, jaki właśnie kipiał na drodze ku Lwowu. Kolejarze zalatani, zapracowani, z serdeczną troską, by jak najlepiej i najsprawniej obsłużyć ogromny ruch, jaki zapanował teraz na tej ważnej linii — stali się dla mnie widomym symbolem tej radosnej pracy, którą każdy z Polaków oddawać powinien odradzającemu się państwu. Że wszędzie, na każdym odcinku pracy państwowej ujrzeć będzie można ten sam radosny entuzjazm pracy nie wątpię ani przez chwilę...

Zameldowałem się w dowództwie III bataljonu, u kapitana Bortnowskiego, zasłużonego piłsudczyka, ciężko rannego w twarz jeszcze pod Łowczówkiem i odrazu dostałem się w szalony młyn roboty, która nieomal z niczego poczęta, miała w najkrótszym czasie doprowadzić bataljon do stanu bojowego. Szło tu o tyle łatwiej, niż gdzie indziej, że do 5 pułku zlecieli się ze wszystkich krańców Polski dawni jego, starzy żołnierze, podoficerowie i oficerowie. Zastałem więc w Żurawicy Włodka Bochenka, Czuryłło-Porębę¹⁾, Krzyżanowskiego²⁾, Lepiarza³⁾, Liwacza⁴⁾, i multum podoficerów z różnych kompanij dawnego legionowego pułku „Zuchowatych“.

Rzecz prosta, nie byli wszyscy. „Wybuch Polski“ zastał piątaków w różnych stronach kraju, na organizacjach, w P. O. W., więc powسیąkali w oddziały tam, gdzie

1) Obecnie major piechoty.

2) Obecnie podpułkownik piechoty.

3) Obecnie major dypl.

4) Poległ w wojnie polsko-rosyjskiej pod Dynaburgiem.

ich pierwsze dni listopada zastały, kapitalne wszędzie okazując talenty organizacyjne. Pono we Włocławku czy gdzieś w tamtych stronach starszy żołnierz I Brygady, zorganizował z ochotników tęgi bataljon piechoty, inni rozbrajali Niemców na czele plutonów czy kompanij, które prowadzili do miast, gdzie się organizowały większe jednostki. Tam dowództwo obejmował pierwszy z brzegu oficer legjonowy, dowódczyk czy peowiak — a szare leguny znikwały w żołnierskim tłumie, ujętym w karne, sprzężone rozkazem oddziały.

Historja powstania naszego bataljonu i pułku przedstawiała się nieco odmiennie. W Krakowie, w listopadowych dniach była spora ilość oficerów i podoficerów legjonowych, to też tam zorganizowanie pułku z ochotników było kwestją już nie dni, lecz godzin. Kapitan Tokarzewski-Karaszewicz Michał, gdy tylko na głównej warcie w rynku krakowskim zatknięto polską chorągiew i gruchnęła wieść o walkach lwowskich — już w dniu 2-im listopada mógł ogłosić rozkaz dzienny do 5 pułku, który pierwszy z pułków został w niepodległej Polsce zorganizowany.

To natychmiastowe, w kilku godzinach dokonane odrodzenie legjonowego pułku, jak z pod ziemi nagle wyrosłego, mogło dokonać się tylko dzięki nie spotykanej gdzie indziej sile tradycji, którą wytworzyli piątacy jeszcze w legjonowych czasach, gdy „Zuchowatymi“ dowodził Leon Berbecki¹⁾, niezapomniana postać legjonowa. Siła tradycji w 5 pułku była tak silna, przywiązanie do cyfry własnego pułku tak przemożne, że skoro gruchnęła wieść, iż w Krakowie organizuje się piąty pułk — wszyscy nieomal jego dawni żołnierze jak ptaki do daw-

¹⁾ Obecnie generał dywizji.

nego gniazda zlecieli się do Krakowa, a później do Lwowa. Dzięki temu otrzymał pułk od pierwszej chwili świetną obsadę oficerską i podoficerską, a szeregi jego z dnia na dzień się powiększały, bowiem każdy piątak przywoził ze sobą, na własną rękę zwerbowanych ochotników tak jak dawny „towarzysz z pod ciężkiego znaku” ciągnął za sobą „sowity poczet”.

Przyprowadzali więc do pułku sekcjami, plutonami najtęższych, najmorowszych ochotników, których wprawne oko leguna oceniło, że nie przyniosą wstydu 5 pułkowi i którym długo się „klarowało” jaki to ich zaszczyt spotyka, że w tym pułku będą się bili.

W Żurawicy każdy nieomal pociąg wysypywał na stację coraz to nowych, przez piątaków prowadzonych ochotników, którzy choć z różnych stron kraju się zjeżdżali, najliczniej reprezentowali środkową i zachodnią Galicję oraz lubelszczyznę i kieleckie. Starego, wysłużonego żołnierza austriackiego było wśród nich niewiele — przeważała ochotnicza młodzież akademicka, szkolna, rzemieślnicza i wiejska. Ci w mig pojmwali wszystko. Ostrzelani już nieco we Lwowie, w czasie odsieczowej akcji 5 pułku, nabierali w oczach tężyzny, sprawności oraz tego przedziwnego charakteru, jakim się zawsze z pośród innych odznaczał żołnierz legjonowy. Beztronski, na zawołanie zawsze będący w pogotowiu humor, pewność siebie w najtrudniejszych momentach, upór i wytrwałość, połączona z całkowitem zaufaniem do oficerów i zapalczywą miłością do Komendanta - Wodza. Wszystko to okraszone cynizmem sui-generis, takim na oko, by nie pomyślano sobie, że te zalety są wynikiem głębszych przyczyn bowiem tego, co czuje prawdziwy legun, rzadko na zewnątrz objawia, a poza i teatralność tępiona jest bez lito-

ści sztyletami szyderstwa. Cała „moral“ streszczała się w zachowaniu, które pysznie mówiło „na to mię stać“...

Ten nastrój, ten charakter, wszystkie wady i zalety starego praktyka-żołnierza — po podoficerach i oficerach przejęło natychmiast najmłodsze pokolenie piątaków, tych „powstańców z r. 1918“, jak ich zgryźliwie przezywała stara, z roku 1914 legjonowa wiara. Niemniej, ci nowi powstańcy za swój piąty pułk poszliby w ogień, z nim zaryzykowałiby wszystko. Wiadomo! — 5 pułk... Te trzy słowa po kilku tygodniach od chwili rozpoczętej w nim służby, z taką pewnością siebie, z taką bezgraniczną pogardą dla wszystkich innych polskich i niepolskich pułków i dla wszystkich rodzajów broni wypowiedane — jakby ten najmłodszy narybek piątacki miał poza sobą wszystkie Krzywopłoty, Łowczówki, Nidy, Styry i Kostjuchnowki, o których opowiadania wkrótce słuchane były z minami, że my też tak potrafimy.

Na ogromnym placu ćwiczeń, ujętym w długi, szeroki prostokąt koszarowemi „parterowemi“ budynkami — całemi dniami rozlegał się wrzask komend i szczęk karabinów. Cięży grudniowe wiatry, śniegi zasnuły plac, mróz wgryzał się do kości jak głodny pies, a wiara ćwiczyła „furt“ i ciągle, bez przestanku i wytchnienia, od czasu do czasu tylko wypadając na przemyskie forty, które atakowano szerokimi tyraljerami, zdobywano, opuszczano, patrolowano, byle nie zardzewieć, nie zastać się w mustrze.

Tak mijały dni...

Wiadomości do żurawickiego świątka przychodziły bądź z gazet, bądź z listów, ale najczęściej i najpewniejsze pocztą pantoflową, zarzutem uprawiania której niesłusznie się oczernia li tylko płeć piękniejszą. Nie były one wesołe, bowiem od Warszawy i innych dzielnicowych stolic dochodził tylko wrzask wzajemnych oskar-

żan, wieszania psów na rząd, niesłychanych kalumnij wołania gwałtu i ratunku.

W naszym światku nie sprawiało to specjalnego wrażenia. Za rząd legalny, formalny, mający pełne nasze zaufanie i poparcie — uważało się dowództwo III bataljonu i pułku — poza tem za politykę — bili. Zachowywaliśmy się tu wszyscy jak neofici, którzy nie mogą bez wstrętu myśleć o dawnych swych grzechach. Tyle się wszak napolitykowało, tyle nocy bezsennych i ciężkich dni na dręczących pytaniach się spędziło, na które w Polsce było głucho, a musiał na nie odpowiadać żołnierz w minionych dopiero co latach i miesiącach — że gdyśmy się wreszcie dorwali do Polski, która ma swój rząd, Naczelnika Państwa — tedy niech oni myślą i politykują za nas. Rozkaz to szabla — a szabla to rozkaz, wojsko nie szpital — zamknąć gębę i już!... Takimi: nało zachęcającymi aforyzmami oficjalnie i nieoficjalnie zamykano „dyskusję“, która poza tem i tak zawsze o wiele mniej była aktualna od takich zagadnień jak wyrównanie stopnia przez świeżo utworzoną komisję weryfikacyjną lub też pytaniami, co wypłaca na pierwszego...

Tak mijały dni...

12-go wreszcie grudnia przyjechał kurjer z rozkazami wymarszu i po zaprzysiężeniu bataljonu, następnego dnia załadowaliśmy żołnierzy na pociąg. Dnia 14 grudnia o świcie stanęliśmy we Lwowie, gdzie zajęliśmy koszary na Łyczakowie.

WYPAD Z JAGIELLOŃSKIEGO GRÓDKA.

Po dwutygodniowej przeszło rozłące ze Lwowem, znaleźliśmy się znów w jego murach i w kole walki. Miasto bowiem otoczone zostało linią okopów z jedną tylko ko otwartą bramą na zachodzie, na torze kolejowym w głąb kraju prowadzącym. Ukraińcy po pierwszym popłochu i cofnięciu się z miasta w pamiętnym dniu 22 listopada rychło ochłonęli i po tygodniu poczęli zbliżać się tyraljerskimi łańcuchami ku Lwowu.

Jest więc zpowrotem oblężenie, z tą jeno różnicą, że obszar miasta pozostał wolny. Nasz 5 pułk z oddziałami lwowskimi oraz z nadciągającymi z każdym dniem posiłkami z głębi kraju okopał się na peryferjach miasta, wytwarzając w ten sposób obronną linię okopów, która przez Persenkówkę, Snopków, Kozielniki i Sichów, przez Pasieki Miejskie, Majerówkę i Krzywczyce aż do Zboisk i dalej po wschodnio-północne krańce miasta — obejmowała je ogromnym, zamkniętym pierścieniem.

Linja ta wrzała już nieustannym gruchotem ognia. Choć siły obrońców Lwowa rosły — nieporównanie intensywniej rosły siły ukraińskie i gwałtowność ich uderzeń. Artylerja, tak jeszcze skąpo używana w listopadowych dniach — biła teraz nieustannie na okopy przedmieść, a ciężkie działa poczęły chciwie szukać żeru w murach

samego miasta. Karabiny maszynowe, zasieki i druty kolczaste, miotacze min, ręczne i karabinowe granaty, linje placówek, głębokie okopy i rakiety świetlne, migotliwym blaskiem znaczące co noc linję bojową — wszystko to upodobało front lwowski do walk pozycyjnych z czasów wielkiej wojny.

A Ukraińcy nie zrezygnowali z powrotnego zdobycia miasta.

Ataki ich, przeprowadzane na poszczególne punkty i odcinki, wymagały coraz bardziej zwartego pierścienia okopów. Były takie nawet dnie, w których przeprowadzali natarcia swe na kilku naraz odcinkach, lecz okrzepnięty już front polskich karabinów nie dopuszczał ich tyraljerskich linii bliżej, niż na odległość rzutu ręcznym granatem.

Gwałtowne, najbardziej zacięte walki toczyły się od zachodniej strony miasta. Ukraińcy za wszelką cenę starali się odciąć w tym miejscu Lwów od reszty kraju, tor kolejowy ze swemi licznymi stacjami od Przemyśla aż do Zimnej Wody pod samym Lwowem ustawicznie przechodził z rąk do rąk.

Wytworzyły się tu walki ruchowe, na zajęty przez Ukraińców odcinek toru czy stację, wypadały ściągane ze Lwowa oddziały, z furją uderzały na nieprzyjaciela — poczem na łeb, na szyję wracały do Lwowa, by znów tu zatkać jakąś dziurę, wyczynioną w czasie ich nieobecności.

Tak się przedstawiał lwowski front, gdy znów po dwutygodniowej nieobecności znaleźliśmy się na linii jego ognia...

Zaledwie przymaszerowaliśmy z dworca do koszar i rozlokowaliśmy żołnierzy — hurmem zgłaszamy się do Bortnowskiego po przepustki. Dostajemy je bez trud-

ności, ile że bataljon ma mieć spokój przez cały dzień, zanim pójdzie na odcinek i przy kompanjach zostają tylko oficerowie służbowi.

Gnam tedy do Mondowej bandy. Przywarli oni na jakimś Snopkowie, więc przysiadłszy się do pierwszej lepszej bryczki zajeżdżam do ich kwatery, gdzie mnie przywitał ryk i wrzask.

Mond ma tu wspaniałe „frontowe“ warunki. Odcinek jego zajmuje najbliższą okolicę Snopkowa, z kwaterą w przesłicznej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego, czysto i schludnie utrzymanej. W wielkich salach parterowych rozkwaterowani zostali żołnierze, którzy tu po służbie w okopach świetną mają „garę“, linja zaś rzadkich okopów, idąc tuż od ogrodów i sadów szkoły, biegnie ku Kozielnikom, gdzie łączy się z odcinkiem, zajmowanym przez 5 pułk.

Na kwaterze u Monda jak zwykle wesoło. Wojnę tu mają iście romantyczną, bowiem nie licząc pań-przełożonych, zostało w Snopkowie sporo zaskoczonych przez lwowską wojnę słuchaczek, które bliskością okopów i sąsiedztwem groźnych zabijaków Mondowych, bynajmniej nie są przerażone. Chłopczy zaś, mając tak wdzięczne obserwatorki — biją się jak lwy, wystawiają się przed zarumienionymi panienkami na niesłychanych bohaterów, łącząc przytem coniemiarą. Jednym słowem raj, o którym Mond swym grubym, naśmiechliwym głosem powiada, że raj ten bojowość jego kompanji znakomicie podnosi.

Świt już bielił pola, gdy wyrwałem się z rozkosznego Snopkowa, kierując się na pożyczonym od Monda koniu najkrótszą drogą na Łyczaków. Przemknąłem pełnym kłusem drogę, która prowadziła starą, zasutą śniegiem aleją, białą i cichą, bez śladów ludzkich stóp. Od czasu do czasu dźwiękliwie jęczały tu kule, posyłane gdzieś od

Sichowa, wówczas ordynans, jadący na przedzie, ucinął galopa, aż tumany zimnego, drobnego pyłu śnieżnego pokrywały konie. Raz, dwa dopadliśmy do koszar, gdzie mnie o mało „pieron“ nie trzasł. Bataljon przed dwoma godzinami ruszył na wyprawę!...

— Nie może być! — wywrzaskuję się nad podoficerem służbowym, który został z taborem bataljonu. Kiedy, gdzie, jak!?...

— O piątej godzinie rano przyszedł rozkaz. Ledwie się trochę na alarm zebrało oficerów i pomaszerował bataljon na dworzec...

Zawracam i pędzę na łeb na szyję do miasta, do dowództwa pułku. Tam Leszek Broniowski wystawił mi natychmiast jakiś dokument podróży do Gródka Jagiellońskiego, dokąd bataljon wyruszył na wyprawę.

Na dworcu złapałem pociąg, który za godzinę odejść miał ze Lwowa. Klnąc jego żółwie sapanie, przeciągające się w nieskończoność oczekiwania na każdej stacji — w południe dojechałem do Gródka Jagiellońskiego. Telefonuję natychmiast ze stacji do jakiejś komendy wojskowej w mieście i z radością dowiaduję się, że bataljon w tej właśnie chwili ma wyruszyć z rynku.

Chwytam więc pierwsze z brzegu sanie.

— Jedź, chłopie, a galopem!...

Wspaniałe siwosze, zakonspirowane snadź jeszcze w jakimś dworze, pomknęły z kopyta. Po kilku minutach wpadam jak burza przed czoło wychodzącego z rynku bataljonu.

Krótkie, niezbędne informacje. Ukraińcy wzięli dwie wsie o kilka kilometrów od Gródka — Uherce i Stodółki. Należy ich stamtąd wyrzucić, gdyż mają zamiar opanować Gródek i przeciąć tor...

Kolumna powoli wysuwa się z miasta, za chwilę ostatecznie chałupki przedmieścia zostawiamy za sobą i rozciągamy się długą, dwójkową kolumną na wąskiej, oślizgłej drodze, wzdłuż niewysokich wzgórz.

Mijamy pierwszą wieś Czerlany. Wokół żywego ducha, chałupy na głucho pozamykane, nigdzie nie ujrzyś ciekawych oczu, wyglądających za wojskiem.

Po dwu godzinach od wyjścia z Gródka, rozwijamy się w długie linje tyraljerskie wprost z Małych Czerlan. Podporucznik Liwacz z kompanją 12 ma uderzyć na wieś Stodółki, kompanją 11 na Uherce...

Patrole wysunęły się wprzód, żołnierze z chrzęstem rynsztunków rozbiegają się w linję. Wsie nieprzyjacielskie mającą się wdali sinym omgleniem drzew – dzieli ich od nas płaska, biała przestrzeń zaśnieżonego pola.

Równe, długie bruzdy śladów zostawia za sobą posuwający się łańcuch tyraljery. W przezroczystem powietrzu tai się zamarła cisza, chłodny seledyn nieba, niby zmarznięta woda tkwi nad głowami. Nie słyhać nic, krom jednostajnych nawoływań szarż, co chwila powtarzających, by równać linję.

Nagle rozdarły ciszę dwa gromkie, wyzywająco bezczelne strzały. Nim żeśmy się zorientowali — posypały się dalsze, szybsze i bardziej nerwowe...

Czarna linja tyraljerska przywarła do białego śniegu, oficerowie w zdumieniu patrzą na siebie. Uherce i Stodółki, na które idziemy, daleko jeszcze przed nami — strzały zaś bliskie zupełnie. Kilka zjadliwych gwizdów rozwiało wreszcie wątpliwość.

Biją od Czerlan, biją ztyłu...

Wnet krzyk komendy poderwał pluton. Drobnymi paciorkami pobiegło tam kilka sekcyj. Strzały zamilkły.

Gdy podciągnęliśmy z kilometr ku Uhercom — przypadły zdyszane patrole. Ztyłu od Czerlan bili sami chłopi, ani śladu ukraińskiego żołnierza.

Śnieg powlekał się sinym połyskiem stali. Zbliżał się wczesny zimowy zmierzch. Zarysy drzew i chałup Uherców stawały się coraz bardziej wyraziste i bardziej ciemne — milczenie jednak szło stamtąd zupełnie.

Na odległość celownika 800 kroków zapadła równa linja tyraljery w śnieg. Czekamy aż Stodółki zaatakują Liwacz, który uderzyć ma z flanki. Jakoż po niedługiej chwili doleciał od Stodółek dudniący pogłos karabinów maszynowych i nieregularny gruchot ognia piechoty.

Zapadła tymczasem jasna, księżycowa noc. Śnieżna, biała równina, pełna zielonej poświaty księżyca pochłonięła swym trupim, tajemniczym mrokiem Uherce. Podsuwamy się teraz do nich coraz szybszym, coraz żywszym krokiem, by za chwilę usłyszeć pierwsze, przejmujące gwizdy kul. Krótko to jednak trwało, kule niedługo pruły zastygłe powietrze...

Gdyśmy wpadli do wsi — głucha ulica ziała pustką. Drobne patrole ukraińskie zostawiły tu tylko nieco wystrzelonych łusek...

Z hukiem, śpiewem i weselem wracamy do Gródka. Co młodszą wiara cieszy się nadzieją, że każda bitwa tak wygląda, my zaś zadowoleni z ćwiczeń w ostrem strzelaniu nie rozwiewamy żołnierskich złudzeń. Przyjdą i tak na nich gorsze czasy...

POD STARYM LASEM WINNIK.

W drugiej połowie grudnia, po powrocie z wypadu z Gródka Jagiellońskiego, po uroczyste obchodzone święcie czwartej rocznicy powstania piątego legjonowego pułku, po jakimś szalonym bankiecie, na którym było wiele miodopłynnych mów — trzeci nasz bataljon dźwignął się z Łyczakowskich koszar na pozycję. Zajęliśmy niemały odcinek, na prawo sięgając Snopkowa, gdzie tkwił porucznik Mond, aż po roгатkę Łyczakowską. Na lewo od niej rozłożyła się linja naszych kompanij, począwszy od placówki Nr. 1 i stąd, wielokilometrowym różaniem okopów i wedet dociągnęła do Zboisk, kolistą linją dwudziestu pięciu placówek, obsadzonych przez dwa bataljony piątaków, ochraniając Lwów. Wytworzył się w ten sposób jednolity nieomal front z niewielkimi względnie, 100 — 200 krokowemi przerwami.

Bataljon III kapitana Bortnowskiego zajął skrzydło prawe od Snopkowa po roгатkę, a na kompanję 9, w której miałem swój pluton, wypadł odcinek Pasiak Małych, odcinek w całym tego słowa znaczeniu — paskudny. Wity się tu i rozkręcały jak potworne węże, głębokie, spadziste jary i wądoly, otwierały się ponad nogami nagłe rozpadliny, bardzo coprawda romantyczne i malownicze, lecz

chyba wiosną i w czas tkliwego pokoju, oraz słowicznych trelów. Do obrony i obsady nadawały się o wiele gorzej.

Zająłem z żołnierzami kilka niebogatych chałup na lewo od głównej drogi, obok której rozsiadła się murowana, ceglasta szkoła i ścieśniły się gęsto solidne, gospodar-



Okopy w Pasiekach Małych.

skie budynki kolonistów. Po zapoznaniu się z odcinkiem, po formalnem objęciu placówek i okopów od podporucznika Eckhardta, który rad z przemęczonymi żołnierzami odchodził do rezerwy — rzemieściłem pluton sekcjami po chałupach. Zkolei, po zajęciu kwater nastąpiło zapoznanie podoficerów i żołnierzy z odcinkiem, rozdzielanie okopów dla sekcji, zbadanie dojsć, próbny wreszcie

alarm — i rozpoczął się nudny narazie, normalny prawie okopowy żywot.

Od chałup, które zajmowałem, teren się lekko na wprost obniżał, uderzając o kilkaset kroków przed nami o ścianę starego, wysokopiennego lasu, rozdartego szerokim i głębokim wąwozem, ze wsi naszej ku lasowi i Winnikom się wymykającym. Ukraińcy tedy nie próbowali dojść jeszcze ani razu, odcinek dotychczas spokojny — las jeno przed nami kryje głucho swą czarną tajemnicę...

Wybrałem się tam następnego dnia, tajemniczy las dziwnie przyciągał i kusił..

Markociłem się głośno w chałupie, że przydałby się jakiś przewodnik, który dobrze te strony zna, lecz mój gospodarz, kurząc fajczykę, na głucho zamilkł, zezując jeno z pod oka na swą babę, która dotychczas ani z wojny ani z nas nie była specjalnie zadowolona. Nie widząc tedy efektu, począłem się zbierać do wyjścia.

— Mamy, panie poruczniku, mapę, to jakoś sobie poradzimy — pocieszał mnie plutonowy Piskorz, tęgi o byczym karku podoficer, stary z włoskiego frontu praktyk i wrzasnął przez drzwi na żołnierzy, by się „dziady“ zbierały, bo zbiórka...

— Pewnie, jakoś se poradzimy...

Dwie sekcje stanęły przed chałupą. Srogie helmy na głowach, granaty za pasami, bagnety z karabinów rzucają blask. Gdy objaśniałem żołnierzy — nos utkwivszy w mapie — jaką drogą pójdziemy i jak się mają na patrolu zachowywać, wysunął się z poza drzwi jasnowłosy, dwunastoletni może chłopak i nieśmiało przysunął się bliżej.

— Jaby przeprowadził, panie poruczniku — jękliwie się z pod mojego łokcia odezwał.

Wiara się głośno, chóralnie ucieszyła, aż chłopaka oblał pons.

Miendlił czapinę w rękę i nieśmiało spoglądał swemi niebieskimi oczyma.

— A znasz synku te strony?...

— Hi! co nie mam znać? Ja było tam co dnia wyganiał!... Dobrze las i drogę znam, panie poruczniku...

— No, to prowadź, a dobrze — zgodziłem się natychmiast, jako że cała ta scena dziwnie mi przypominała sienkiewiczowskiego Michałka, który Szandlerowskiego chorągiew pod Rudnikami na rajtarów szwedzkich prowadził. Serpentyny mu jednak nie dałem, bo jej nie było, obiecałem natomiast, że sobie do Ukraińców postrzela i to nie raz, na co chłopakowi oczy się zaśmiały. Gdyśmy ruszyli, mój przewodnik zamienił się cały w słuch i wzrok...

Ogarnął nas za chwilę poważny, głęboki szum staro-
rego boru, rozciągającego się po obu stronach jaru, aż po same prawie Winniki. Ubezpieczenia boczne nurkowały bezszelestnie wśród gęstego poszycia, posuwając się tak cicho i sprawnie, że na kilka kroków nie było ich slychać. Zrzadka trzasnęła delikatnie nadeptana gałązka, zrzadka zaszeleściły pod nogami suche, pożółkłe liście...

Chłopak szedł za mną na szpicy, przyciszonym szep-
tem objaśniając szczegóły miejsc. W parowie się nie ukryją „hajdamaki“, — jak gwarą lwowską nazywał Ukraińców — gdyż z góry wszystko widać, a jar mało zarośnięty. W lesie ich pewnie też niema, chyba za lasem w „kolonji“, pod Winnikami...

Po godzinie czujnego marszu — zrzedył drzewa wysokiego lasu. Od lasu wdół, w niewielkiej dolince, rozrzuconych kilka domków kolonji, krytych blachą i czerwona dachówką. Po drugiej stronie, na odległości 500 kroków

nagle podnosił się teren, obramowany wysokim, zalesionem wzgórzem, wzdłuż którego pięła się biała szosa ku Winnikom.

Patrolując ostrożnie wieś, chałupę po chałupie, dochodzimy powoli ku szosie. Kilka ściętych, potężnych sosen zawaliło ją przez całą szerokość — droga do Winnik przez Ukraińców snadź ubezpieczona.

W pewnej chwili, gdy ukryty za węglem domu przeglądałem lornetą ciemny zwał lasu, gdzie zdawało mi się, iż dostrzegam zygzakowatą pręgę maskowanych okopów, — zatrzaśkały naraz na lewym ubezpieczeniu strzały. Wnet trzy, cztery granaty dźwięknęły w powietrzu i z popod drogi wypłynęły śniade dymki...

Porwałem się ku drodze. Biegl tędy co sił Piskorz z trzema ludźmi.

— Panie poruczniku, dęba — obchodzą nas!...

Nie pytałem więcej, bo już z prawej i z lewej ostre trzaski karabinów były prosto w twarz. Szczęściem droga przez kolonję wiodła głębokim, wąskim parowem, więc gnaliśmy nią co tchu, nie oparłszy się aż na brzegu lasu. Tu — tyraljera i padnij!...

Strzały ucichły. Gdym wbił szkła lornety w oczodoły wnet dojrzałem przebiegające ciemne postacie wśród chałupek kolonji. Dojrzeli je również żołnierze, bo gorączkowo poczęli wrzeszczeć jeden przez drugiego i składać się z karabinów. Wygarnąłem wreszcie jedną i drugą salwę, tak, że Ukraińcy wnet zapadli w ten sam jar, którym przed chwilą tak zapamiętałe „wyrwaliśmy“...

Mój mały przewodnik był jak wniebowzięty. Gnał parowem do lasu pierwszy i tak sprytnie wybierał miejsca, żeśmy cały czas byli osłonięci.

Teraz przypadł do rowu z wypiekami gorączki na twarzy, z błyszczącemi oczami. Nie mówił nic, lecz tak

się kręcił w czasie salw, że kazałem mu dać karabin. Z najwyższą uciechą wygarnął raz, aż ziemia wyrznęła słupem, tak trzasnął kulą o trzy metry przed siebie — lecz już następny nabój posłał w las...

Byliśmy już bezpieczni. Przed sobą ostrzał doskonały, Ukraińcy mogliby się tylko posuwać jarem — lecz wówczas zły mieliby dzień. To też nie ruszyli się z chałupki, choć przez długą chwilę wypatrywałem, czy się gdzie nie pokażą.

Powrót przez las odbył się już bez dalszych przygód. Wysłałem długi, soliterowy meldunek, a mój przewodnik, mimo płaczów matuli, zaciągnął się do wojska, do naszej kompanji, tak mu bowiem zasmakowała pierwsza jego, wojenna wyprawa. Długi płaszcz plątał mu się między nogami, lecz krótki karabinek kawaleryjski napełniał go nieopisaną dumą...

W dwa dni później, tą samą drogą, lasem i jarem pod winnicką górę, poszedł kapitan Bortnowski nocą z dwiema kompanjami. Tak samo go nagle obkoczyli, że ledwie się wycofał, na szczęście bez strat.

W ZIMOWE, BIAŁE NOCE.

Surowa, ciężka zima. Spadł obfity, gęsty śnieg, wyrównał miękkim całunem ziemię, pozasypywał okopki, ciężką okiścią obłożył drzewa. Posterunki wnet wydeptały ścieżki, lecz pierwsze wedety brodziły po kolana w śniegu.

Szczęście to całe, że żołnierze nasi mają wszędzie, wzdłuż całej linii obronnej Lwowa ludzkie osiedla, w których się mogą zagrzać i wypocząć po służbie. Gdyby nie to, młode, niezahartowane, niewytrzymałe chłopaki kruszyłyby się ponad miarę, gdyż z umundurowaniem kiepsko, a szczególnie z butami. Zapasy po Austrii pozostały coprawda duże, lecz nieogłędna, rozrzutna gospodarka pierwszych dni ogromnie je uszczupliła, a zresztą z dnia na dzień rosnące w liczbę siły polskie zużywają wszystkie zapasy. Gdyby tak przyszło tkwić dniami i nocami w samych okopach — stan zdrowotny żołnierzy byłby o wiele cięższy.

Narazie jednak wyzyskujemy zimę jak się da. Lwów poweselał — pod białym płaszczem śniegu znikł brud dawno nieczyszczonego miasta, wesoły pobrzęk sanek brzmi czysto i radośnie w powietrzu. „Cywile“ jednak marzną potężnie w swych mieszkaniach, bowiem o węgiel trudno jak o złoto. Dowóz skąpy, prawie, że go niema,

wojsko porywa dużo do koszar, gdyż kompanje idące z okopów do rezerwy marznąć nie mogą. Tak więc, do rozlicznych bied i nędz mieszkańców Lwowa przybywa jeszcze surowy chłód śnieżnej, mroźnej zimy. Na szczęście lwowianie znoszą to wszystko z pogodą wprost niezwykłą...

Na święta Bożego Narodzenia spodziewamy się ataków ukraińskich. Linja placówek została wobec tego zwiększona, nadciągnął cały już 4 p. piechoty legjonowej, ciaśniej jest i raźniej, a na alarm zaczerpną się okopy jak w najporządniejszej, pozycyjnej wojnie.

Nas przerzucono teraz na prawe skrzydło stanowisk pułku, tak, że na mój pluton wypadła skrajna, prawa placówka Nr. 1, łącząca z ostatnią lewą placówką Monda od strony Snopkowa...

Mam więc z nim kontakt ustawiczny, bowiem łącznicy od Snopkowa stale przychodzą do nas i odwrotnie, z czego korzystamy, przesyłając sobie różne wesołe wiadomości, a gdy na mnie wypada czas odpoczynku, biegnę przez pola na linję placówek Monda, wprost do Snopkowa...

Tam, z racji obfitego śniegu — z wojny zrobiono sport. Porucznik Adaś Świtalski i Bogucki przywlekli z domu narty, znalazły się też deski i kijki w Snopkowie — więc rond placówek odbywa się na nartach, cicho, składnie, a szybko...

Któregoś wieczoru, gdy osypany śniegiem, otrząsałem się przed snopkowską rezydencją, zastałem Kazika Boguckiego przyodzianego w białą, śnieżną koszulę z kapturem, taką, jakie się „fasowało“ podczas wielkiej wojny na wschodnim froncie w czasie zimy dla wedet, by nie odbijały się ciemnymi mundurami od jasnego tła śniegu...

— Co za maskarada, Kaziku — pytam. Ludzi będziesz straszył...

— Jakbyś zgadł. Chcesz, to dostaniesz taką samą...

Tak zajęty był przypasowywaniem rzemieni do nart, że nie mogłem zeń słowa wydębić. Klnąc, zaciskał jakiś surowcowy rzemień na „bilgierze“, który mu nie chciał łapkami objąć szerokich, komiśnych butów.

— Na co mi koszula, powiedz, co będzie?...

Kazik tajemniczo mrugnął okiem.

— Powiadam ci, będzie heca, weź koszulę i narty.

O koszulę śnieżną nie było trudno, na Cytadeli sporo tego zostało na składzie, więc porekwirowano je na prześcieradła, nart zaś i kijów obijało się o ściany korytarza coniamiara.

Wybrałem sobie niezgorsze deski i zakładam przed wejściem. Kazik, posapując, dociągnął wreszcie swoje mienie i nagli. Śpiesz się, by nas kto nie ujrzał. Będzie zabawa, jakich mało.

Za chwilę z cichym szumem nart, lekko idących po przymarzniętym śniegu, odbijając się kijkami, wpadliśmy w ogród.

Mrok tu był zupełny, tylko od dwu okien budynku padała żółta smuga światła na zaśnieżone drzewa. Za ogrodem przesunęliśmy się przez dziurę w płocie i znaleźliśmy się wśród sfalowanych zagłębień, pełnych sypkiego, puszystego śniegu. Na tle jego bieli z kilku kroków odległości nie było nas widać zupełnie. Śnieżne koszule maskowały świetnie.

Przestałem się niecierpliwie pytaniem dokąd idziemy, gdyż domyśliłem się, że w tych oryginalnych strojach będziemy odprawiać rond placówek. Że wedetę „szlag“ ze strachu może trafić, o to się nie obawiałem, byle tylko nie wygarnęła do nas jak w bęben.

Wciągnęliśmy się okrakiem na wzgórze. Stąd, pobijając kijkami, zsunęliśmy się z delikatnym, charaktery-

stycznym szumem nart, ledwo, ledwo dosłyszalnym. Dźwięknął czasami talerzyk kijka lub okucie żelazne czy chrupnął rzemień. Narty niosły szybko, z jednego wzgórza na drugie „szus“ wynosił nas w jednej chwili. Na połowie drogi do placówki Nr. 1 skręciliśmy raptem na prawo i szorowaliśmy wprost na ostatnią placówkę Snopkowa.

Stała tu placówka w odosobnionym domku, otoczonym ogródkiem, na którego skraju tkwiły wedety. Za chwilę zatrzymaliśmy się przy rozwalonym płocie. Zanajaczyły przed nami warkocze drzew, od których szedł lekki poszum, nie słyhać było ponadto żywego ducha.

Wstrzymując oddech w piersiach, krok za krokiem, łagodnym ruchem ramion, opierając się na kijkach, dosunęliśmy się o kilka kroków do okopu wedety. Żołnierz oparty o przedpiersie pilnie spoglądał w stronę Kozielnik i Sichowa. Stał tak bez ruchu, a my prawie tuż nad nim.

Zbiera mi się na śmiech, lecz zarazem żal mi żołnierza. Jeżeli zdradzimy się głośniejszym ruchem, chłopak może naprawdę niesamowicie się przerazić. Poza tem może zacząć strzelać naoslep...

Daję więc ciche znaki Boguckiemu, by się cofnąć. Jemu snadź te same myśli przychodziły do głowy, bo począł powoli krok za krokiem cofać narty. Te jednak skrzyżowały się za nim, Bogucki zachwiał się i bokiem wyrznął w śnieg z głośnym chrzęstem kijków i desek. W ciszy nocnej szcęk talerzyków rozległ się jak łoskot...

Nim zdążyliśmy zakląć, już buchnął nam strzał prosto w twarz. Jak pioruny — dwa oślepiające błyski, jeden po drugim.

— Nie strzelać, nie strzelać! Swój — ryczymy wniebogłosy, przywarci do śniegu.

— Stój!... stój!... kto idzie?... — darła się wedeta niesamowicie przerażonym głosem, kręcąc się wkółko, nikogo snadź przed sobą nie widząc.

— Tu porucznik Bogucki — nie strzelać! — wrzasnął jeszcze raz Kazik, podnosząc się na kijach.

— Gdzie pan porucznik, gdzie? — nic nie widzę.

Poczęliśmy ściągać koszule. Żołnierz stał jak wryty, patrząc na nas nieprzytomnymi oczyma. Długa chwila przeszła, nim wytłumaczyliśmy mu przyczynę naszych wizyjnych postaci.

— Rany Boskie, aż mię zatkało! Myślałem, że już mnie Ukraincy ciągną za łeb, a przecież nie spałem ani przez chwilę.

Tymczasem z chrzęstem rynsztunku przygnała na łeb na szyję z chałupki cała placówka i bez słowa zapadła w okopki, wysuwając karabiny na przedpiersia. Komentant placówki melduje się „sztram“ u Boguckiego.

— Wszystko w porządku. Wedeta biła do nas, bo zamaskowaliśmy się na nartach.

Żołnierze poczęli wykpiwać zawstydzoną i speszoną wedetę, lecz gdy włożyliśmy zpowrotem koszule i odbiliśmy się o kilkanaście kroków kijkami na śniegu, z zachwytem poczęli wołać: Nic nie widać, jak Boga kocham, nie widać ani słyszać...

Zmienialiśmy kilkakrotnie miejsca dojścia do placówki i za każdym razem, gdyśmy przykucnęli przy śniegu, by nie było nas widać na tle ciemniejszego nieba, żołnierzom jakby ćma opadła na oczy — nie widzieli nic.

Wracaliśmy rozbawieni. Kazik wpadł w prawdziwy trans narciarski. Ej, gdyby tak mieć kompanję narciarzy, toby się wystraszyło z pod Lwowa wszystkich Ukrainców! Jednych by się za łeb z okopów powypędzało, inni wydarliby z przerażenia tam, gdzie pieprz rośnie...

Lecz były to tylko marzenia. Nadchodziły już święta Bożego Narodzenia, a z nimi spodziewane na pewno ataki ukraińskie. Front lwowski coraz bardziej się wzmacniał, posiłki nadchodziły, a 22 grudnia o 3-ej w nocy



Komendant Piłsudski w rozmowie z płk. Mączyńskim.

wpadł do mojej placówki podporucznik Potęcki z wiadomością, że przyjechał z Warszawy Komendant i o 8-ej rano ma być na naszym odcinku.

Radość niesłychana...

Ruch zapanował natychmiast świąteczny. Krzątani-

na, porządek, wszystko ma wyglądać „pierwsza klasa“. Żołnierze potracili głowy. Oczy im błyszczą z niecierpliwości, wypieki barwią policzki jakby czekali na najdroższą kochankę. I choć na polu sroży się śnieżycą, a wiatr



Wizytacja komendanta Piłsudskiego na odcinku 9 kompanji 5 p.p. Leg.

ciska tumanami śniegu — otrzepują się ustawicznie, by jak najlepiej i najgodniej się sprezentować. Wietrzysko hula i jęczy swą zimową pieśń, sypie po oczach śniegiem, a chłopcy latają od placówki do placówki, czy aby już nie idzie...



Wśród lwowskich orląt — 8.

5 3 1 2 4 6

Naczelnny Wódz na odcinku Snopkowa we Lwowie. 1. Naczelnny Wódz. 2. Generał Rozwadowski. 3. Generał Leśniowski. 4. Plk Mącznyński. 5. Kpt. Mond. 6. Kpt. Hoser.

No i nie przyszedł — takie już nasze pieskie szczęście. W tej stronie był tylko na odcinku Monda w Snopkowie. Żołnierze omal nie płaczą. To też na Pohulance, gdzie w dowództwie naszego bataljonu u Bortnowskiego przygotowano śniadanie dla Komendanta — wściekły panował gwar. Zeszli się wszyscy prawie oficerowie, by żarliwie skosztować przygotowane śniadanie i nacieszyć się chociaż tem, co opowiadali inni, którzy przy wizytacji Wodza Naczelnego byli obecni.

WE DWORKU NA POHULANCE.

Ostatni dzień grudnia roku pańskiego 1918.

Na placówce Nr. 1 nawprost Kozielnik — wesoło i gwarno. Stoję tu z plutonem, w chałupce jakiegoś robotnika czy dozorca cegielni. Budynek ladajako zбитy z desek, ściany poprzekładane trzcina, oblepione gęsto gliną. Na koślawej kanapie, obitej ceratą mam swe łożo, na którym „urzęduję“.

Podłogę zajęli podoficerowie: podchorąży Dudek, który się tylko tak nazywa niewinnie, gdyż morus jest pierwszej klasy i rej w plutonie wiodący, zabijaka z pod Isonzo i z nad Piawy, rzeki sławnej — plutonowy Piskorz.

Przed chałupą, w glebie zmarzniętej wyryte, ciągną się długą linią aż do samej szopy cegielni okopy plutonu. Dalej, wzdłuż długiej ściany szopy, wysoko pod stropem dachu, opancerzeni tarczami stalowymi, czają się żołnierze plutonu II porucznika Muzyki¹⁾. Jeszcze dalej, za chałupkami i szopami, wśród glinianek cegielni okopał się pluton I, którego okopy dochodzą do drogi, krzyża i mурowanego domku „finansów“ miejskich, opasyłych celników.

W nocy znów bili w moją chałupę. Snadź ją sobie Ukraińcy upodobali, gdyż biją nieustannie, bez przerwy.

¹⁾ Obecnie pplk.

Ściany w wielu miejscach puszczają. Wczoraj nad samą głową podchorążego kula przebiła dziurę w ścianie i natłukła rykoszetem garnków kuchennych coniemiarą.

Nocą zawzięli się Ukraińcy, by nam dać szkołę. Postrzelali docna ramy okienne, podziurawili ściany jak sito. W dzień pogorszyło się jeszcze bardziej. Bili tak gęsto, że wypaść z chałupy do okopów nie było można, aż przetrącili mi wreszcie żołnierza. — w sam nos.

Bestja kwiku takiego narobił, jakby go zarzynali. Skoczyłem do drugiej izby, całkiem ciemnej z powodu zasłoniętego okna, ledwie rozświetlonej przez niedomknięte drzwi.

Wiara leży pokotem na ziemi. Pozasłaniali głowy tornistrami, poduszkami, stołkami. Nie ruszają się do rannego, jeszcze się zeń śmieją, bo chłopak kwiczy, choć wyraźnie głowę ma całą.

— Dawać wody. Czegóż wrzeszczycie?

Podsunał mi któryś wiadro. Mokłą chusteczkę przyłożyłem rannemu do nosa.

Chłopak wrzasnął i zaraz umilkł. Na chwilę, gdy nieco zahamowałem krew, można było ujrzeć dwie delikatne dziurki, równo przebite przez nos.

Wlot z jednej strony, wylot z drugiej.

— Śtyry dziury w nosie... śtyry dziury — śmiał się któryś z lwowskich batjarów. Nie kwicz, dziadu sakramencki, bo wystraszysz Ukraińców...

Wsiadłem na nich. To do ciężkiego pioruna miast mu pomóc, nakpiwacie się z rannego. Po sanitariusza zaraz. Już cię niema! — wrzasnąłem na pierwszego z brzegu.

Ranny tymczasem zamknął oczy. Gdy opuścił głowę, krew zalewała mu gardło. Dusił się i krztusił, co chwila,

pokwikując. Długo mu musiałem krzyczeć do ucha, że głowę ma całą, że za tydzień wróci na placówkę.

— Najgorzej jak wróci — mruknął któryś z kąta. Ani go oko ujrzy...



Na odcinku Sichowa.

Przyleciał zasapany sanitariusz. Ci zawsze są zasa-pani. Nie bardzo wiedział, co z tym nosem zrobić, więc nurknął razem z rannym do okopu i pognął na punkt opatrunkowy do lekarza.

Leżę teraz na swej ceratowej kanapie. Biją ciągle, więc trzeba się było ufortyfikować. Po południu posła-łem po tarcze stalowe. Zastawiłem jedną okno, dwiema te miejsca, które najbardziej puszczały. Resztę ściany obło-żyliśmy słomą, siennikami, czem się wreszcie dało. Ostat-

nią tarczę postawiłem na kanapce w głowie i forteca była jak się patrzy.

Teraz leżę na kanapie i śmieję się. Łeb i całą zresztą długość mej doczesnej powłoki osłania mi tarcza, gdyż całą długość kanapy ustawiłem wprost na strzały. Śmieję się, bo jest z czego. Jak tylko zaczną bić, chłopcy wszyscy jak jeden, ryms na podłogę, tyłem do Ukraińców. Wyprawiają przy tem hece niebywałe. Zawiesiste i soczyste żarty, że to taka fajna wojna...

Wieczorem jakaś „popijawa“ we dworku na Pohulance, gdzie kwaterą stoi dowództwo bataljonu, to jest w głównej swej osobie kapitan Bortnowski z adjutantem Wiśniowskim. Że Sylwester, więc ma być generał Leśniewski, pułkownik Tokarzewski-Karaszewicz, panie, goście i t. d.

Klnę, gdyż odejść nie mogę. Mam służbę.

Gdzieś koło dziesiątej brzęczy telefon. Halo — placówka Nr. 1?

— Tu placówka Nr. 1. Kto mówi?

— Tu Bortnowski. Rzuć, Wacek, placówkę, chodź na Pohulanę.

— Nie mogę przecież, mam służbę. Radaby dusza...

— Zostaw placówkę podchorążemu. Zwalniam cię. Przyłaź...

— Rozkaz!

Tłukłem się po wertepach coś z godzinę. Poblądziłem w lesie, w parowach i jarach, wreszcie przy świetle księżycy odnalazłem wydeptany ślad po łącznikach. Zgrzany, zmęczony, stanąłem przed jaśniejącym od światła dworkiem na Pohulance.

W podłużnej, wielkiej izbie humory już były niezgorzej podlane. Gdy na wstępie przy drzwiach zdejmowałem srogi hełm i kożuszek, wrok mój padł na siedzące

go w końcu sali, na pierwszym miejscu generała. Obok pułkownik Tokarzewski, pani Tokarzewska, Hela Bujwidówna.

Poprawiam mundur i twardym krokiem walę przed siebie. Generał... pewnie Leśniewski. Pierwszy generał polski, którego widzę w życiu.

Srebrny kołnierz generalski, grube naramienniki już przede mną. Staję na baczność i recytuję dobitnie, głośno:

— Panie generale, podporucznik Leśniewski, przedstawia się posłusznie...

Ucichł gwar, jak nożem uciął. Widzę, że Hela ma okrągłe oczy, pułkownikowa niemniej przerażona, pułkownik Tokarzewski szyderczym, złośliwym przeszywa mnie wzrokiem.

Stoję jak mur. Spłoszone myśli gonią wskok. Leśniewski — Lipiński... pomyliło mi się, psiakrew, w ostatniej chwili. Dlaczego u pioruna nie mogę być Leśniewski? Poprawiać się nie będę...

Widzę, że generał jest zdziwiony i zaintrygowany. Spogląda z pod dużych brwi i szkieł ale i nie pyta. Djabli wiedzą z tym 5 pułkiem. Może i Leśniewski?...

Podał mi rękę. Krótki trzask obcasami, odchodzę na miejsce z rumorem mi gdzieś wyczyniane.

Gwar buchnął ze zdwojoną siłą. Przerwana rozmowa potoczyła się tem żywiej, im bardziej nikt nie wiedział co się stało. Kawał, czy ki djabeł?

Siadam jednak z najpewniejszą miną w świecie i od razu zalewam wątpliwości tęgą wiśniówką. Cicho, banda, generał patrzy...

Co sobie pomyślał, tego nie wiem, jednak co chwila czułem na sobie ciekawy wzrok generała. Co za kuzyn?...

Lecz gwar rósł coraz bardziej, sztywny nastrój miękł, jak gors koszuli. Generała zarzucają dykteryjkami, kon-

cepty się sypią, coraz jest raźniej, coraz weselej. Wreszcie mówka jedna i druga, rozkleiło się bractwo docna. generał Leśniewski niech żyje!... i zacy dowódca Lwowa leci za chwilę do góry pod sam sufit. Niech wie, że z legionami, których jeszcze nie poznał, warto jest „sztamę“ trzymać...

Długo w noc trwała przegłośna zabawa, z której zapamiętałem to tylko, że wzrok generała często i gęsto spoczywał na mnie. Nie zbliżałem się jednak doń przez cały wieczór z wyrafinowaną ostrożnością.

WSRÓD GŁUCHYCH ULIC.

Włócę się po mieście...

Bataljon w rezerwie w koszarach na Łyczakowie. Ogromne, prostokątne budynki, brudne jeszcze i nie doprowadzone do porządku. Nikt nie ma na to czasu — kompanje, przychodzące z okopów, muszą się przede wszystkim wyspać, wysuszyć, wyczyścić broń — muszą się wygarować i zażyć miasta.

Obok koszar na obszernym placu ćwiczeń, pod nasypem drogi wkopane w ziemię stoją dwie połówki, ustawicznie bijące na przedpola Majerówki, Krzywczyc i Sichowa. Opryskliwe, gniewne szczekanie armat, krzyki artyleryjskiej komendy, bez przerwy nieomal zgłuszane zostają przez poważne, żałobne tony pogrzebowych marszów.

Cmentarz, obok, po przeciwnej stronie alei. Jeszcze się czepiają gdzie niegdzie drzew żółte, drżące liście klonów i brzoź, jeszcze znaczą krwawymi łzami biel puszystego śniegu. Ponuro, żałośnie zawodzą trąby orkiestry...

Parcela cmentarna, na groby obrońców Lwowa przeznaczona — rośnie, wydłuża się, coraz więcej z każdym dniem zajmuje miejsca. Wszystkie na niej mogiły świeże, żółtej ziemi wydarte. Jasne, drewniane krzyże poznały je jednakim, monotonnym rysunkiem.

Leżą tu znani i nieznani, swoi dla Lwowa i obcy. Leżą tu obok siebie, w jednakich sosnowych trumnach.

jednako cisi, uśpieni śmiercią na wieki. Dopiero co dzieliły ich lata, pochodzenie i zawód.

Na prostych, żółtych tabliczkach czytasz ślad ich krótkiego, prędko zgasłego żywota. Data zgonu — krzyżem złączona z datą urodzin. Rok tysiąc dziewięćsetny pierwszy, dziewięćsetny drugi i trzeci, nawet i czwarty. Ten poległ pod Cytadelą, ów pod pocztą, inny w Snopkowie, w Pasiekach, w Zboiskach... Uczeń gimnazjalny, robotnik, akademik...

Są i tabliczki puste prawie, niewiele na nich słów. Poległ dnia... nieznaną żołnierz — nic więcej, ani słowa...

Skądżeś się tu wziął, skąd jesteś, żołnierzu? Jakież płomienie serca przygnały cię do Lwowa, skądżeś przybył wielkiego bronić miasta?

Straszliwy jęk musiało ono wydawać, krzykiem cię wzywać rozpacz, skoroś ty właśnie, nikomu nieznaną, cios w swoje serce za nie otrzymał...

Skądś, z głębi kraju tutaj przybiegłeś. Gdzieś od Cieszyńskiego Śląska, z Krakowa, czy stamtąd, gdzie Wisła szeroką wodą płynie. Wykradłeś się w głuchą noc z Sambora, czy Tarnopola. Wszystkie papiery swe zniszczył, zgubiłeś dla ludzi swój ślad. Nie będzie szukał wróg zemsty na rodzinie twojej, bagnetów swoich na nią nie skieruje. Nikt — skądżeś przybył i ktoś jest — poza tobą samym, nie będzie wiedział. Nieznaną zostałeś, jak nieznaną tve życie krótkie, walka i żołnierska śmierć.

Zawodzą, żałośnie zawodzą głosy trąb. Szeleści zeschnięty liść, cisza się tai w puszystym, kopnym śniegu. Tylko dygoce długo, długo dygoce w kaplicy cmentarnej serce kościelnego dzwonu.

Włóczę się po mieście. Z ulicy na ulicę i znów na szeroki plac.

Na każdym niemal kroku ślad niedawnej walki rzuca się w oczy. Ulice, które były linią pozycji w czasie listopadowych dni — żałosny przedstawiają wygląd.



Cmentarz obrońców Lwowa.

Gmach Głównej Poczty — zestrzelany na sito. Wejście do niej, „reduktą Piłsudskiego“ nazwane — potrzaskane ciosami kul, że i centymetra całego muru nie znajdzie.

Powgryzały się kule w cegły, porozdzierały gzymsy, kanty, obramowania. Ślepe, ogromne oczodoły okien pustką zieją zniszczenia — to wichur wojny przez nie przeleciał. Wdzierał się tu noc w noc, dzień w dzień, przez długie tygodnie...

Całe ulice wzdłuż — porysowane biczami kul, podziurawione, skłute szyldy, powyrywane ze sztab dźwiękliwie drżą na ścianach.

Na jezdniach góry nie sprzątanego dawno śniegu. Rdzawe, bez połysku szyny, bezużyteczne od wielu, wielu dni.

Niema wody. Zrujnowane wodociągi przechodzą z rąk do rąk. Przy ulicznych studniach długie ogonki ludzi. Cierpliwie stoją tu wszyscy. Panie w kapeluszach, kobiety w lichych chustkach, starzy panowie z niebieskimi kubeczkami w ręku. Radzą wszyscy i gwarzą. Złączeni razem, nie skłóceni nieszczęściem, nędzą spleceni w jedno. Nikt się tu nie drze naprzód, nie przepycha. Każdy w miejscu swoim stoi, za kolejką, po wodę. Stoją godzinami...

Niema światła. Elektrownia na Persenkówce przechodzi z rąk do rąk. Gdy dorwą się doń ludzie z miasta, naprawią technicy maszyny i instalację — wnet przeciągłym, szeleszczącym poświstem lecą granaty ku jasnym światłom elektrowni. Drą mury, biją w maszyny, odłamkami jęczą — aż nagła ciemność ogarnie miasto. Ponura zapada noc, rozdygotana strzałami, które tu nigdy nie cichną.

Suną milkliwe cienie po ulicach. Ściśnie się trwoźnie długi wąż ludzi przy studni. Szepce i drży. Znow niema światła, a świec już dawno brak.

Posępny mrok ogarnia miasto, zwątpienie wciska się do tysiąca serc. Bardziej ponuro, bardziej złowróźnie

tlucze się teraz wśród murów karabinowego ognia wielokrotne echo. Jego pogłos w nocnej ćmie potężnieje, dzikiej nabiera siły, potęgi nieodpartej. Jak strasznie strzelają, jak nie przestają ani na chwilę...

Idzie przez miasto kompanja. Twardy krok, równy, dudniący. Raz, dwa... raz, dwa... Przemierza milczące, głuche ulice.

Waży się pocisk w powietrzu. Chyboce się, drgającym tchnieniem śmierci pruje powietrze. Coraz jest bliżej, coraz bliżej. Szelestny jego szum za chwilę wpada w dźwiękliwy, metaliczny jęk, w raptowny, gwałtowny wizg. Nim po uchwycie ciszy zatrzymać się serce zdoła — rozdzierający huk już bije w mur. Brzęk rozpaczliwy szyb, żaloszny jęk odłamków...

Strwożył się długi szereg postaci przy studni. Ścisnęli się jeszcze bardziej, już nie przechodzi nawet szept...

Kompanja, idąca ulicą, hej! nagle wrzasnęła. Radosny śpiew, wesoły, tęgi śpiew żołnierski poruszył głuche mury. Hej, strzelcy wraz, nad nami Orzeł Biały!...

Rósł, potężniał, jak zwycięstwo, jak triumf brzmiał. Śpiew, żołnierski śpiew...

Poweselała ulica. Przycichły strzały, zmatowiał ich przenikliwy trzask. Zadrgały serca, podniosły się głowy, uśmiech zawitał do lic.

Z szeregu ludzi, długim stojących wężem z kubałkami przy studni szedł gwar rozmowy, polatywał śmiech.

CORAZ CIĘŻEJ I TRUDNIEJ.

Przez koniec grudnia i od świąt Bożego Narodzenia począwszy, cały styczeń — krótkimi z jedno, dwudniowymi przerwami — odpieraliśmy zaciekle ataki i szturmny ukraińskie. Pasieki, które sobie tak chwaliłem, gdy tam jeszcze nie atakowano, fatalną okazały się pozycją, wprost nie do utrzymania. Siedział tam z kompanją swoją Bochenek Włodzimierz. Kwaterę miał w murowanym budynku szkolnym, żołnierze rozkwaterowani po chałupach, okopy nad jarami i wąwozami. Gdy rozpoczął się ogólny atak ukraiński, Pasieki Miejskie zarzucone zostały granatami. Jeden z nich, niezły, „volltreffer“ wyrznął w samą szkołę. Bochenka wyrzuciło przez okno, poraniło oficerów. Bili celnie, skutecznie, nie było się gdzie przed ogniem schronić.

Ruszyły się wnet ukraińskie tyraljery. Darły się parowami, jarami, to tu to tam wynurzały się znienacka przed słabo obsadzonemi okopami, biły ogniem, ciskały granatami. Nielada twardzizny żołnierskiej, nielada uporu trzeba było użyć, by się utrzymać, nie dać się obejść, zaskoczyć. Kapitan Bochenek z podporucznikiem Liwaczem i Lepiarzem, ze starą z pierwszej brygady legjonową wiarą nie spali, nie jedli, wytchnienia nie mieli przez chwilę. Ogniem artyleryjskim znosili Ukraińcy chałupę

po chałupie, placówkę po placówce, rozwalili wreszcie wieś docna. Zginął tam wówczas kapral Kaucz, stary kamrat legjonowy. Granat wyrznął w chałupę i rozniósł na strzępy całą sekcję — dziewięciu ludzi.

Wreszcie, gdy wszystkie ataki zostały odparte, nastał tam spokój. Pasieki Miejskie, bronione przez 5 pułk nie do zdobycia się okazały.

Broniła wówczas nasza kompanja odcinka wsi Majerówka. W kilku domkach rozmieściliśmy żołnierzy — za ogrodami i sadami, wzdłuż niskich żywopłotów, rozciągnęliśmy linię okopów. O dwieście kroków od nich płaskim oddzielony polem — wznosił się czarna ściana, wdół opadając ku Krzywczycom, wysokopienny, stary las. Na lewo od wsi wynurzał się zeń głęboki, urwisty parów, młodą zalesiony brzozą i gęstym krzakiem tarniny.

Gdy Sichów, Pasieki Miejskie, Krzywczyce Wielkie i Małe, Zboiska i Persenkówka trzęsły się od ustawicznego, porywistego ognia — mieliśmy tu spokój prawie zupełny. Śnieg pokrył grubą warstwą pola, patrole zapadały się w miękkim puchu po pas. Przyszła wreszcie kolej i na nas. Zaczęło się od zwykłej przygrywki granatów, szukających żołnierzy po chałupach. Wysoko w górę śmiały fontanny ciężkiej ziemi, kalecząc czarnymi lejami śnieżną powłokę pola. Zajęliśmy okopy.

Po pół godziny na łeb, na szyję przygnały patrole z lasu. Idą, idą przez las..

Za chwilę zatrzęsło się powietrze od jazgotliwego trzasku maszynek i karabinów. Ukraińcy, zajawszy po-brzeże lasu, bili przez cały dzień, posuwali się coraz bliżej, leźli na lewo jarem pod samą wieś. Lecz z lasu na białe, równe pole wypaść nie śmieli. Trzymał ich nasz ogień jak psa na łańcuchu.

Po dwu dniach i nam dali spokój — przerwali się znów na inne odcinki. I tak ciągle bezustanku.

Żołnierze poczęli puchnąć ze zmęczenia, z trudów, z niewyspania. Choć dochodziły ciągle nowe uzupełnienia ochotników, jednak wcielani do poszczególnych kompanij, świeżo z domów powyrywani uczniowie, akademicy, niedorostki miejskie z Rzeszowa, Jasła, Krosna — całej Galicji wreszcie i Królestwa, nie mogli dostatecznie pomóc. Młodzi chłopcy, nie nawykli do wojny, do trudów, do bezsennych nocy, ognia i strat, wprost z domowych pieleszy rzućeni w tyraljerę na śnieg — opadali z sił po kilku dniach. Wyczerpanie takie przyszło wreszcie na oddziały, żeśmy z niepokojem poczęli oglądać się na Warszawę.

Przecież nam coś przysła... Ciężko, coraz ciężej samym. Dobrze, że Komendant nam ufa, że jego chłopaki Lwowa nie puszcza, ale się przecież w końcu zedrżemy...

W połowie stycznia nadeszły wreszcie posiłki. W ciężkich marszach i bojach drogą od Rawy Ruskiej nadciągnął warszawski pułk z samych prawie akademików złożony. Nim doszli do Lwowa, w krwawych walkach stracili dowódcę pułku, majora Bobrowskiego.

Miasto zaroiło się od ludzi. Kto mógł, dążył w stronę Żółkiewskiej roгатki, skąd pułk miał nadejść. Staliśmy wówczas w rezerwie; więc i ja skoczyłem, spodziewając się, iż z pułkiem tym nadciągnie i mój młodszy brat.

Na placu Marjackim stoją ułani z Warszawy, którzy jako szpica nadciągnęli pierwsi. Okute daszki przy sztywnych maciejówkach, długie, świetnie skrojone płaszcze niemieckie, proporczyki barwne na kołnierzach, lance, świetne końskie rzędy. Pierwszy patrol kawalerji polskiej przedstawiał się we Lwowie wspaniale...

Ułanów otacza tłum, przez który trudno się przecisnąć. Kobiety całują i głaszczą konie, wyplakują swą radość nad ułanami, którzy nadrabiając marsem, starają się po żołniersku ukryć wzruszenie.

Lwowianom zaś jakby ubyło po dziesięć lat, w taki radosny szal wpadli na widok ułanów. Zdaje im się, że koniec już walk, że minęły dni nędzy, ciemności, głodu i chłodu, dni ognia i granatów, burzących miasto. Że oto Rzeczpospolita Najjaśniejsza przysyła ze stolicy potęgę swego wojska, że odbije Lwów i przegna wroga, że spokój zagości u bram. Nie chcą wierzyć, że to tylko szwadron i jeden pułk piechoty, cieszą się i radują słodką nadzieją. Co chwila z tłumy wrywa się okrzyk, że idzie już piechota, a wówczas tłum drży, faluje, łamie się i ławą wali ku północy. Lecz dalej widać znów tylko tłumy, znów morze głów, nikt jeszcze nie idzie...

Obok teatru natknąłem się wreszcie na czoło maszerującej kolumny. Zbita masa ludzi oblewała ją wokół, a żołnierze szli twardym krokiem z tak butną i świetną postawą, jakby naprawdę już Lwów wyzwolili.

W bataljonie kapitana Sawickiego¹⁾, zaprawionego w bojach legjonisty, znalazłem młodszego mego brata Jurka, morowego szeregowca piechoty. Zaraz napoczekaniu ubiłem targ z kapitanem Sawickim, by mi oddał brata do 5 pułku, jako że tradycja rodzinna i t. d., a w kilka dni później, gdy się nieco na froncie lwowskim po atakach styczniowych uspokoiło, wydebiłem w pułku krótki urlop.

¹⁾ Obecnie pułkownik, dowódca piechoty dywizyjnej.

PLACÓWKA W KRZYWCZYCACH.

Lagodnie stanął pociąg na lwowskim dworcu. Wysypała się zeń tłumnie żołnierska brać, cisną się wszyscy do wejść, gdzie dokumenty podróży przeglądają polscy żandarmi, żółte „kanarki“.

Mróz, sucho, na ulicy śnieg skrzypi pod nogami, rozgwieżdżony granat nieba. Zameldowaliśmy się w dowództwie pułku i marsz odrazu do kompanji, na pozycje w Krzywczycach Małych.

Idziemy po twardym śniegu drogą przez Łyczaków, stamtąd wdół ku Krzywczycom. Pozycja delikatną odzywa się pukanią, czasem migotliwe, drgające fale zielonego światła rozruca wystrzelona rakietka...

Spoglądamy na stojący w ciszy las trochę ze zdziwieniem. Tak nagle znów dostaliśmy się na linję. Jeszcze wczoraj o tej samej godzinie wieczornej siedzieliśmy w gronie najmilszych sobie osób, jakże dalecy od wojny. Julek Neumark¹⁾, przyjaciel mój najserdeczniejszy, jest wzruszony. Front, okopy, ogień, rakietki świetlne — zostawił za sobą jesienią 1916 roku — szmat czasu przyćmił mu tamte wspomnienia, które odżyły w nim teraz

¹⁾ Zginął jako podporucznik w roku 1919 na froncie polsko-bolszewickim.

z nagłą, niespodziewaną siłą. Pak... pak... pak... delikatna, prawie miła, prawie radosna pukalina, niosąca łagodnie, zdaleka wystrzelone jęki, pogwizdy, śpiewy, melodje zmęczonej, umierającej w swem ostatniem tchnieniu małej, niewielkiej kuli...



Sypanie okopów w Krzywczycach.

Wśród kilku chałupek krzywczyckich mieści się 9 kompanja, w oddzielnym domku oficerowie z kapitanem Sławkiem Krzyżanowskim, d-cą kompanji. Wielki wrzask buchnął wraz z kłębami pary, gdy otworzyłem drzwi. W zadymionej, wygrzanej do niemożliwości izbie, cdchodziły z „pierońskich“ nudów karcjeta, jakiś labet i poker. Pozycja od dłuższego czasu spokojna, normalna pukani-

na, nic ciekawego, dotkliwszych podczas nieobecności mej strat nie było — zostały tedy karty.

Tak brzmiały pierwsze krzykliwe relacje, a podniósł się krzyk po chwili jeszcze większy, gdy na stół wjechały pękate i długie, okrągłe i płaskie butelczyny z „hinterlandu“ i jakieś tam mamine przysmaki domowe. Rozhulał się humor, stół obstawiony został najzupelniej.

Czas mijał. Ponury, zawsze nieogolony podchorąży Cetis błyskał jeno białkami oczu z poza ogromnych, okrągłych szkieł. Coś tam melancholijnie przeżywając, spijał niezgorszą szklanką od musztardy, gardząc chłopskimi, grubemi kieliszkami. Wiecznie głośny porucznik Muzyka śmiał się ustawicznie ze wszystkiego, z każdego — cyk — Sławka Krzyżanowskiego i jakiejs nowiej szalonej okazji, zmuszającej nieodwołalnie do wypicia. Przekrzykiwały się wzajem najświeższe ploteczki: pułkowe, lwowskie, polityczne, personalne, powtarzane wkoło Wojtek i jeszcze raz z innej beczki, bo nie tak było, jak mówisz, tylko całkiem inaczej. „Co użyjem, to dla nas“... rozdzierała uszy nie wiedzieć dlaczego smętna melodia, którą ryczeli wszyscy w natchnieniu jak najwspanialszy hymn, „Jutro już nie będzie nas“... atu... trefl... pik... karo... bierz — i skandal grać z takim ostatnim patalachem. I tak dalej i tak dalej, kolejka w kółeczko...

Zimne, srebrzyste światło księżyca zaglądać poczęło w okna. Wygarowałem się na urlopie, przeto obejmuję służbę — konkluduje w moim kierunku dowódca kompanji.

Jest już coś 3 po północy. Wychodzę z Julkiem Neumarkiem i Cetisem przed chałupę. Mroźne, świeże powietrze orzeźwiło nas wspaniale, nie tak jednak, by wszystko tkwiło na swem przyrodzonym miejscu, dostatecznie atoli, by Cetis mógł nas zaprowadzić do mego plutonu, który stoi na „eksponowanej placówce Nr. 1“ w la-

sku nad jasną, białą polaną, do której biegł głuchy ślad zmieniających się nocnych wedet i patroli.

Pluton trochę zmieniony, przybyło coś dziesięciu maturzystów z Jasła, chłopaków śmiałych, morowszych jeden od drugiego. Trzeba ich poznać, jak również i nieznanne mi przedpole, oraz śpiący w bieli las, ku Czartow-



Placówka „eksponowana” w Krzywczycach Wielkich.

skiej Skale i ku Lesienicom czarnym idący mrokiem. Wziąłem wtedy Cetisa, Julka, chłopaków z Jasła. Zanurzyliśmy się na polanie w miękkim, puszystym śniegu. Delikatny jego skrzyp cichł w sennym powietrzu. Pochyleni, równą linią, krok za krokiem zbliżamy się powoli ku coraz ostrzejszym odgłosom drobnej pukanki, idącej od Lesienic.

Po pół godzinie oczy patrzyły ostro, uważnie. Skupione, ściągnięte twarze wysunęły się naprzód, widząc wszystko, słysząc najmniejszy szmer. Światło księżyca bladło, bieląło, szarzało coraz bardziej, ścieląc wąskie cienie wśród wysokopiennych drzew, fantastycznie oświetlając las, rozłożony między pozycjami.

Placówki ukraińskie, za linią lasu w szczerem polu stojące, zostały już za nami. Ich strzały łomocą teraz głucho, posuwicie pacają manlichery, czasem z sykiem obija się o las ich głuchy, nabrzmiały bólem jęk. Jedna z placówek, stojąca bliżej brzegu leśnego tkwiła pod szeroką, rozłożystą, pełną głębokiego cienia, rozczapierzoną gruszą. Z ponad ciemnej smugi okopów i wnęk, wybłyskiwały raz po razu cienkie kosmyki żółtego ognia, migotliwie zapalając się i gasnąc. W lesie placówek niema. Stoją tu one snadź przed samemi okopami, gdyż w miarę zbliżenia się ku ukraińskim pozycjom, coraz ostrzej, gniewniej, jadowniciej trzaskał ich pogłos.

Cofnąłem cichemi ruchami rąk przychylnych ku ziemi żołnierzy, gdy błysk z luf ukraińskich począł przyświecać wśród drzew tuż, tuż...

Po godzinie zwałem się na wąskie, chłopskie łóżko w mej nowej kwaterze na onej „eksponowanej“ placówce. Spałem do 7-ej rano jak kamień, aż posadził mię na betach przyciszony, zemocjonowany, metalicznie brzmiący głos kaprała Znamierowskiego:

- - Panie poruczniku, okropnie biją od samego świtu. Będzie robota, biją coś za bardzo...

Wychodzę przed chałupę. Ranek cichy i jasny, drzewa stoją bez ruchu, stężałe na mrozie. Od śniegu na polance płynął różowy, przesycony fioletem blask...

Na prawo, gdzieś na Pasiekach Miejskich, oraz na

lewo na Zboiskach tłukł się ogień karabinowy, bełkotliwy jak war w garnku, jak bulgotanie gotującej się wody...

Przed nami leżała głucha, spętana jeszcze nocą cisza. Z placówek pod Lesienicami i Czortowską górą, gdzie byliśmy kilka godzin temu, nie dochodził ani jeden strzał.

A tak przecie w nocy bili...

Las stał cichy, senny, w zbyt rażącej ciszy w porównaniu z łomotem i charataniną, jaka dygotała w powietrzu ze wszystkich wokół odcinków...

Stoję przy wysokim sągu połupanych zgrabnie drzew, na zimę przygotowanych. Patrzę na polanę, wsłuchuję się w jego mroźną ciszę...

Jak dawno przestały bić wedety ukraińskie?

— Od pół godziny. Z Lesienic nie biją wcale...

Obok sągu, nieco w prawo, w okopku do pasa ukryta stoi wedeta. Młody uczeń, maturzysta, Dębicki. Równe, gładkie rysy ładnego chłopaka.

— Wygarnijcie Dębicki jeden magazynek w las...

Zadygotał las od hurgotliwego echa strzału. Wytrzymał zaraz drugi, trzeci. Pięć naboí.

Czekamy. Cisza. Z Lesienic nie odpowiedziała ani jedna, tak nerwowa zwykle i wnet odpowiadająca wedeta ukraińska.

Idą, idą napewno... przemknęła szybko błyskawiczna myśl. Przez ciało przebiegło tak dobrze znane długie, zwykle ziewanie tajonej emocji.

— Znamierowski, rozstawcie ludzi. Zaraz będzie atak...

— Rozkaz...

Leniwo zabieram się do mycia. Chłopaki wyciągają karabiny, narzucają tornistry. Przepychają się i jak zaw sze, jeden drugiemu dogaduje. Zaraz wyjdą...

Gdym odwijał koszulę na szyi, zatrzasnął naraz ostry, jazgotliwy, bliski deszcz strzałów. Piorunowe, bliźnięćkie huki, rozgłośnie gromkie były z lasu z przeraźliwą, radosną siłą wyzwolonej potęgi ognia...

Zakotłowało się w izbie, jakby weń cisnął granat. Zatrzęsła się chałupa w nagłym tupocie nóg. Wszyscy wypadli w jednej chwili.

Tym samym leniwym ruchem, którym odwijalem koszulę, — narzuciłem kurtkę, hełm, kożuszek. „Steyer“ w rękę, lornetę na szyję. Staszкови przy drzwiach kilka słów, by spakował rzeczy. I znów to nieznośne poziewanie. Pewnie z niewyspania...

Las drży, trzęsie się, szamoce jak w febrze, jak w gorączce. Chłopcy rozbiegli się po okopach, przypadli do płytkich wnęk, przywarli do żółtego piachu. Przyczaili się w bezruchu.

Stałem przy drzewie. Za polanką, na brzegu lasu o niecałe dwieście kroków — ruchliwe, latające cienie. Wali stamtąd łoskot i biją w przymrużone oczy przegromkie strzały.

Biorę lornetę do oczu. Jeszcze Julkowi w przelocie ruchu daję rozkaz, by z trzema żołnierzami obsadził chałupkę w lewo. Znamierowskiemu rozkaz otwarcia ognia...

Załopotały głucho, zadudniły tępo manlichery. Syżące echo poleciało w las.

Żołnierze biją na hura, na warjata, łupią przez polanę do czarnych, nerwowych cieni. Rozmieszczam jeszcze tego tu, tego tam. Przechodzę wśród nich — wracam do pękatego sągu.

Gdy wcisnąłem znów w oczodoły szkła lornety — zatrajkotał naraz karabin maszynowy. Przez chwilę pole widzenia szkieł ogarnęło trzęsący się kłótniwie, jazgotący

warkocz płomienia i latających wokół maszynki ludzi. Metalicznym podźwiękiem, anarchistycznym wizgiem za-
wyły rykoszety. Drzeć poczęły gałęzie drzew, z dziką
wściekłością trzaskać w dyle złożonych równo w sągi
drew.

Za wysoko wzięli...

W pewnej chwili, gdy zamierzałem przejść od lewe-
go skrzydła na prawo, czy tam od lasu mnie nie obcho-
dzą — straszliwy cios rzucił mną na śnieg.

Podbiegł Staszek i Znamierowski. Chwycili na rę-
ce i piorunem wnieśli do chałupy. Raz dwa przynieśli
bandaże, zdarli ubranie. Nad kolanem prawej nogi roz-
walone mięso... Wąski sznurek krwi wartko biegnie ku
dołowi.

Bandażę brudne. Wyciągam swoje z kieszeni i ścią-
gam nogę. Odsyłam Znamierowskiego precz z chałupy.

— Ogień utrzymać jak najsilniejszy. Placówki nie
oddać...

Ordynans zbiera gorączkowo, pośpiesznie wszystkie
moje rzeczy. Opieram się o jego ramię. Próbuję wstać.
Kulas tępy, głuchy, bez cienia władzy. Dowlokłem się
do drzwi.

Las nadal trzęsie się od ognia.

Z niepojętą mocą i niesamowitą pasją tłuką się kule
po drzewach, przenikliwym jękiem napełniając rozdygo-
tane powietrze. Lecz żołnierze nasi też nie próżnują —
gwałtowny ich ogień trzyma Ukraińców ciągle na skra-
ju lasu.

Trzeba wyjść, dać opatryć nogę...

Od drzwi całym ciężarem ciała zwałem się na Stasz-
ka. Przechodzimy wlokąc się przez las ku wsi. O kilka
kroków od chałupki podnosi się z pod drzewa żołnierz.

Wyje jak pies. Z rozwalonej szczęki buzuje i wali się masa krwi.

Poznaję Dębickiego. Czy możecie iść?... — krzyczę wśród ogłuszającego trzasku, bo wdały się już granaty i szrapnele, rżnąc w las stokrotnymi hukami. Rwie się po jarach ich rozgłośnie, huczące echo...

Dębicki chce się podnieść, lecz opiera się tylko na rękach, jak czworonóg. Chwiejącym się krokiem idzie wreszcie. Czepia się drzew. Ciągle wyje...

Wybiegli naprzeciw żołnierze z rezerwy. Mocne ramiona Cetisa podniosły mnie jak piórko. Dębickiego złożono na noszach. Teraz do wsi, do chałup.

Tam sprawnie i szybko zawinął się sanitariusz koło rany. Ciepłym uściskiem bandaża obwiązuje nogę powielokroć. Krzątają się inni wokół Dębickiego któremu rykoszet potrzaskał szczękę, fatalnie potarł twarz. Śmiesznym stożkiem geometrycznym wypycha mu policzek uwięzła w mięsie kula. Przestraszone, pełne krzywdy oczy dziecka skarżą się z bólu...

Napisałem jeszcze meldunek. Potem ze wsi, wzdłuż brzoźowego lasku popod górę, skrajem żółtej piaszycy drogi, na której rozjęczało się setki kul — dźwiga mię Staszek na ramionach.

Za wzgórzem czekały już pozganiane ze wsi chłopskie konie. Na wymoszczonym słomą wozie kłusem do miasta. Na rogatce Łyczakowskiej drugi punkt opatrunkowy, stamtąd już wprost do kliniki Czerwonego Krzyża.

„CO UŻYJEM TO DLA NAS”...

Biały, oślepiająco biały pokój w szpitalu. Białe łóżka, białe szafki, stołki, krzesła — wszędzie lśni biały lakier i biała farba. Nawet pas zachodzącego słońca, rzucający długi, czerwony promień światła przesycony jest tą uroczą świeżą białością.

Obudziłem się po wielu godzinach kamiennego snu. Obok leży blady Dębicki, z głową obandażowaną, wielką jak dzwonnica. Oczy ma wpadnięte głęboko wdół, przybite powiekami do sinych, żalonych obwódek.

W pokoju cisza i dziwna omdłałość. Za białymi drzwiami skrzypią po posadzce śpieszne kroki, czasem przedrze się stłumiony okrzyk czy zawołanie.

Nic mi właściwie nie jest. Nogi nie czuję. Coś obcego, niesamowicie ciężkiego, jakby oderwanego od reszty ciała. Leży sobie spokojnie, gruba, poowijana, śmiesznie napęczniała. Bardzo mi słabo, bardzo mi dobrze — tylko co tam się dzieje w Krzywczycach, na Pasiekach, w Zboiskach.

Musi być jednak nieźle, gdyż za oknami drży lekka, oddalona strzelanina.

Nie taka, gdy kto atakuje, a kto inny się broni. Nie taka, gdy idzie kontratak...

Delikatnie rozwarły się drzwi. Stanął w nich wysoki,

szczypli lekarz, uśmiechem powitawszy spojrzenie. Za nim siostra.

— Jakże się czujemy?

— Wcale się nie czujemy, doktorze. Co na froncie?...

— Wszystko dobrze. Ten wasz 5 pułk to twarde wojsko. Wszystkie ataki odbite. Ukraińcy pocharatani. Zboiska 4 pułku na chwilę zajęli, lecz rezerwowe kompanje w pięć minut ich wyrzuciły. Coby ten biedny Lwów bez legunów robił?

Czuję, że minę przybieram bohaterską. Co, piąty pułk? Możecie spać spokojnie, lwowianie.

— Dzisiaj napewno. Pod wieczór się już wszystko skończyło. Zato my tutaj roboty mamy coniemniara.

Lekarz zbliżył się do Dębickiego. Długo mierzył puls, coś szeptem mówił siostrze.

— No, dowidzenia. I ten chłopyś będzie się miał dobrze. Nabiło mu zębów coś z tuzin i trochę mu urody ujmie, lecz nic groźnego. Dowidzenia, leżeć spokojnie, wypoczywać.

Pogroził palcem i wyszedł cicho, jak wszedł.

Spałem znów mocnym, twardym snem, gdy coś o jedenastej w nocy otworzywszy oczy, ujrzałem nad sobą roześmianą od ucha do ucha, kochaną gębę Monda i podporucznika Bandrowskiego¹⁾, Kadenowego brata.

— Wstawaj... Ubieraj się! Cały 5 pułk w „Krakowskim“. Triumfalne pijaństwo po zwycięstwie. Musisz oblać!...

— Idźcież wy do licha! Zwarzowaliście chłopy!?

— Musisz oblać! Nareszcie cię przetręcili. Taka szalona okazja...

¹⁾ Obecnie major piechoty.

— Puść, bo strzelam...

Lecz niski głos Monda, przerywany śmiechem, dudnił po sali, jak w głębokim tunelu. Jakgdyby czołem tarł o drzwi, jakby fury po ulicy jechały. Dużo fur, bo ciągle dudnił jego śmiech.

— Rozkaz jest! Mamy cię zabrać ze sobą — chichotał Bandrowski, pochylony nad poręczą — jest fajne auto pułkownika. Bortnowski zresztą odjeżdża ze Lwowa, musisz go pożegnać.

— Ludzie, zastanówcie się, co robicie — wołam z rozpaczą — lecz czuję, że mi się okropnie chce być razem z nimi, z tą niepoprawną, kochaną bandą. Już się snadź śmieję, bo przerażone oczy siostry, która wślad za nimi weszła, stają się coraz bardziej okrągłe. Za nic się nie zgadza! Jakże można! Nie do pomyślenia...

Mond poleciał do lekarza. Jakiś gwałtowny rozkaz. ważne zeznania, moja obecność konieczna w dowództwie pułku. Jakaś rada wojenna. Jest auto — nic się rannemu nie stanie. Gumy, motor, a zresztą rozkaz...

Za chwilę ubrali mię w mundur, kocami poobwijali nogi i wynieśli jak kukłę do czekającego auta. Do sal w hotelu Krakowskim pełnej dymów, śpiewu i hałasu wnieśli wśród straszliwego ryku Monda.

— Miejsce dla szlachetnego trybuna, miejsce dla trybuna...

Srogi się podniósł wrzask. Wszystko coniebądź chwiejne, z kurzącymi się łbami szło z kieliszkami ku mnie. Ten gratulował, ów kondolował, jeden płakał, inny się śmiał, a każdy pod wpływem wiśniówek rozczulony był i wniebowzięty. Takeśmy im dali w skórę... tak dali, daj pyska, że ci się udało... I jeden po drugim ścisnął, obcałowywał, aż wreszcie ryk Monda odgarnął wszystkich na boki.

— Dajcie mu spokój, pijaki. Posadzić go...

Umieścił mię na dwóch krzesłach obok jakiegoś Amerykanina, którego poza okularami i dymem nie było prawie widać. Ten coś do mnie mówił, na co starałem się z wdzięcznym uśmiechem odpowiedzieć, że właśnie... je suis blessé... znów kiwanie końską głową i angielski bełkot w odpowiedzi. Jak to było z Awerczenką?... Żeby się nauczyć po angielsku, trzeba włożyć gorące kartofle do gęby i mówić po niemiecku — to pójdzie. Chciałem mu to jakoś wytłumaczyć, zarówno jak to, że Awerczenko, mając już pełną gębę gorących kartofli, przypomniał sobie, że po niemiecku nie umie — lecz jakoś nie szło. Tym bardziej, że za chwilę Hela Bujwidówna przesaadziła go (Amerykanina nie Awerczenkę) na inne krzesło.

Rozrzuwionym wzrokiem starałem się przebić gęstą śmę dymu, jaka rozwłóczyła się po sali. Wiśniówka wnet uderzyła mi do głowy i było mi dziwnie dobrze...

Kłócili się teraz zawzięcie jak to było z tym kontratakiem... Że wyskoczyli za wcześniej... Bardziej trza było ich podpuścić, głębiej wcisnąć... Ktoś komuś świadczył poważne dusery, że wisz, morus jesteś, a miałem cię za świnię... Tręcali się kieliszkami, całowali się i jeszcze raz buzi z dubelcówki. Wreszcie — co użyjem, to dla nas — zaintonował ktoś, już prawie z pod stołu...

Wnet pochwycono ulubioną melodję. Śpiewali wszyscy, rozparci na krzesłach, podnieceni, z błyszczącymi oczyma. W miarę czasu, śpiew potężniał, grzmiał coraz bardziej, niby swobodnie, niby hulaszczco, a jednak z tą dziwną żołnierską melancholją, która przebija się przez słoneczne promienie najradośniejszego zda się humoru, zawadactwa, beztroski i nic nierobienia ze wszystkiego. „Co użyjem, to dla nas, jutro już nie będzie nas“... Bo w każdej chwili wpaść może telefonista, inspekcyjny,

pierwszy lepszy wreszcie oficer i krzyknąć: alarm, panowie, do swoich oddziałów... — a w jednej chwili, w sekundzie jednej, ludzie ci siądą na czekające bryczki czy konie, i galopem, z tętentem polecą przez miasto na swe pozycje. W pięć minut tam będą, w szalonym trzasku ognia, w wizgu granatów, w piekielnym rumorze walki dokończą swój śpiew. Co użyjem, to dla nas — jutro już nie będzie nas...

I niejednego nie będzie, niejedyn ostatni swój wieczór pozorną beztruską zabija ostry niepokój, który wgryza mu się w pierś i wbija w serce, gdy poczynają padać pierwsze, ostre strzały...

A LWÓW TRWA...

Mój kikut ma dość! Kolano spuchło jak bania karmelicka, wyglądnął ma brzydki, potworny. Założyli mi tedy jakąś szynę, noga już całkiem nie moja, jakiś kloc.

Przeleżałem tak trzy tygodnie w bezruchu, ciszy i spokoju. Noga, ujęta w szynę, powoli wracała do swej przyrodzonej formy. Obrzęk w trzecim tygodniu zaczął ustępować, powoli ustępował też nieznośny ból w ścięgnach podkolanowych. Wiele się natomiast nacierpiał biedak Dębicki. Opatrunki wyczerpują go ogromnie — poza tem długo nic nie mógł mówić. Osłabioną ręką pisze wszystkie swe życzenia na bloku, lecz oczy jego coraz bardziej nabierają żywości i on coraz lepiej się czuje.

W godzinach popołudniowych pokój szpitalny zapętnia się co dnia. Przychodzi Julek Neumark, brat mój Jurek, który w swoim rekruckim rozumie nie może pojąć, dlaczego to właśnie mnie wtenczas zranili, zachodzi Hela ze smakołykami i całe ni sekcjami żołnierze z kompanji. Nigdy nie przypuszczałem, że być rannym i leżeć w szpitalu — to taka duża przyjemność...

Lwów tymczasem niezmiennie, ustawicznie się krwawi. Od 26 lutego do 1-go marca miał krótkie, kilkudniowe zawieszenie broni. Misja francuskiego generała Berthelemy'ego wyczyniła tę pacyfikację, lecz zgola bez skut-

ku. Ukraińcy po trzech dniach — zawieszenie broni zerwali. „Bartolem“ uznał to za zerwanie z koalicją i wyrwał do Poznania. Jak widać z tego, Ukraińcy bimbają sobie na wesoło z Koalicji, co ujdzie im na sucho, gdyż te legendarne dwa korpusy rumuńskie, które mają pono ich szachować od Bukowiny, idą tak, jak Haller z Paryża... Jednak zawieszenie broni, choć krótkie, żołnierzom naszym dobrze się przydało. Uporządkowano pozycje, unormowano służbę, żołnierze odpoczęli i wyspali się, nabrali trochę sił na zapas.

Teraz po „armistitium“, znów wojna, lecz już tylko z murami nieszczęsnego miasta. Ukraińcy pozycje nasze zostawili w spokoju, biją natomiast ze wszystkich baterij na centrum miasta, na dworce, place, ulice i kościoły. Granaty rozdzierają mury, niema dnia, żeby nie było strat wśród cywilnej ludności, która pozbawiona żywności, światła, wody i opału, trzyma się jednak z podziwu godnym bohaterstwem.

O nas głucho chodzą wieści, że 5 pułk ma opuścić Lwów. Mają tu przyjść pułki wielkopolskie, czeka się pono na oddziały Hallera, by wielką, generalną ofensywą odrzucić Ukraińców od miasta i przegnać ich za Zbrucz. My zaś — takie krążą plotki — mamy iść na Wilno...

W pułku podobno szalony panuje ruch i nieodzowny bałagan. Robimy legjonowe dywizje. Pierwszą ma mieć Śmigły-Rydz, drugą Roja. Wszystko to ma ruszyć z Komendantem na Wilno...

Takie mi znoszą wiadomości. Rozgorączkowani, ożywieni, palą się chłopcy do nowej roboty. Lwowskie bataljony piąтакów, które już starym żołnierzem można nazwać — mają być dywizji legjonowej kadraj. Zapełnić zaś ma szeregi pułków rekrut, prawdziwy rekrut, wzięty

z poboru. Na 15 kwietnia dywizja ma stanąć gotowa, pułk wyjeżdża lada dzień do starego, dobrze nam znanego z legjonowych czasów, Ostrowia Łomżyńskiego.

Korytarze kliniki pełne ludzi. Wszyscy ranni, którzy jako tako zwlec się mogli o własnych siłach z łóżek, poopierani na laskach, kijach, ramionach towarzyszy — stoją w głuchem, ponurem milczeniu przy otwartych oknach. Przeżalone, blade siostry, jęcząc, przebiegają z sal do sal, załamując ręce, płaczą ze zgrozy.

Klinika oświetlona krwawym blaskiem drgającej łuny. To jaśnieje nagle, to ciemnieje łuna straszliwa. Długo, ruchliwe cienie kładą się na korytarzach, na ścianach kliniki, którą raz po raz wstrząsa dreszcz. Szyby jęczą...

Od strony dworca w kłębowiskach gęstego, czarnego dymu, straszliwe łomoty, przeokropne wybuchy raz po raz wstrząsają powietrzem. Drobnny deszcz, drobnienieńka siekanina, jak pryskające na rozgrzanej blasze ziarenka czarnego prochu — to tysiące, tysiące nabojów karabinowych. Łoskoty dłuższe, posępnie ryczące — to granaty, szrapnele, straszliwy błysk i rozdzierający huk dziesiątków piorunów — to cały wagon pocisków...

Skład amunicji na dworcu w płonącej łunie wylatuje w powietrze wśród chmur gęstego dymu, którego duszący swąd dolatuje z wiatrem tu, aż na drugi koniec miasta. Ukraińcy przez ostatnie dni bili, bili na miasto, na dworce, tory, magazyny aż domacali się wreszcie składów amunicji.

Ponuro spoglądamy przez okno, żal ściska serce, że właśnie w takiej chwili, kiedy opadnie Lwów nowa fala przygnębienia — musimy miasto opuścić. Lecz trudno. Lwów obroniony i tak będzie, lada dzień, lada tydzień skończą się dlań dni udreki, gdy pchnie tutaj ofensywę Naczelnny Wódz — a my musimy pójść wyzwolić jeszcze jedno miasto, równie nękanie i pomocy wyczekujące, wyzwolić Wilno...

Po uroczystem pożegnaniu, jakie urządziło miasto odjeżdżającemu 5 pułkowi, opuściła wiara wyzwolony, tyle miesięcy broniony i obroniony Lwów. W kilka dni później z kartą na dwutygodniowy urlop — szykowałem się do odjazdu, do Zakopanego. Był to już koniec marca, resztki zimy widziało się jeszcze na ulicach.

Czekałem niecierpliwie na godzinę odjazdu. Ukraińcy co chwila przerywają dojazd na głównym torze, więc obawiałem się, że może wypaść później coś takiego, co by mię oderwało od pułku i pójścia na Wilno. Niecierpliwie czekałem, czekając na Staszka, który poszedł po bryczkę.

W ostatniej prawie chwili nadjechał. Prędko, prędko na dworzec.

Tam, gorączkowy, przepychliwy ruch. Jeszcze dochodzi z dworca towarowego przykry swąd spaliny, cikliwa sadź. Pociągi pełne rannych, transportów piątego pułku, sporo również wyjeżdża cywilnych. Wśród ścisku i tłoku ustępują mi miejsca na ławce — za chwilę ruszamy.

Nad miastem pękają szrapnele. Na ciemnym granacie nocy zapalają się i gasną czerwono-żółte błyski, od Snopkowa, Sichowa, Majerówki, Krzywczyc — dochodzi grzmot po grzmocie i częstotliwy, jak groch, nieustannie rzucający o ścianę, pogłos karabinowego ognia. Lwów się broni, Lwów trwa.

W przedziale pełno piątaków. Gonią pułk, który już stanął w Ostrowiu. Wśród podoficerskiej grupki nuci ktoś piosenkę. Znaną, znaną mi melodję. Wsłuchuję się pilnie, aż ktoś drugi dorzuci słowa, półgłosem nucone: „Po Lwowie zobaczyć nam pilno, to nasze kochane, stare Wilno, to nasze, kochane, stare Wilno“...

Pociąg powoli ruszył. Za chwilę pogrążył się w mrok, zanurzył się w ciemną otchłań nocy. Coraz słabiej, coraz ciszej dochodził pogłos strzałów broniącego się Lwowa, tylko szrapnelowe błyski długo jeszcze było widać, jak bezgłośnie się zapalały i gasły nad umęczonym, bohater-
skim miastem...



INDEKS NAZWISK.

- Abraham — 39.
Baczyński — 39.
Bandrowski-Kaden — 140.
Bandrowski Jerzy — 140, 141.
Berbecki — 89.
Berthelemy — 144.
Bieńkowski — 41, 43, 44, 45, 48, 61, 64, 65, 66, 71, 77, 78.
Bobrowski — 128.
Bochenek — 75, 89, 126.
Boğucki — 49, 52, 55, 58, 67, 69, 80, 107, 109, 110.
Bortnowski — 75, 89, 95, 100, 105, 114, 118, 141.
Broniowski — 75, 97.
Brunner — 11, 15, 16, 26.
Bujalski — 20, 26, 41, 44, 74.
Bujwidówna — 9, 18 20, 55, 58, 62, 63, 72, 75, 119, 142.
Cetis — 132, 133, 138.
Cieński — 38.
Czuryło-Poręba — 89.
Denhoff-Czarnocki — 11, 16, 20, 48.
Dębicki — 135, 138, 139, 140, 144.
Dobrodzicki — 7.
Drozdowski — 16, 26.
Dudek — 115.
Dziadosz — 75.
Dzieduszycki — 20, 22, 23, 25, 26.
Eckhardt — 101.

Falkiewicz — 85.
Haller — 145.
Heyder — 63, 72, 73.
Hiller — 45, 20, 52, 58.
Hindenburg — 83.
Hołubianka — 9.
Hoser — 113.
Karaszewicz-Tokarzewski — 1, 74, 118, 119.
Kaucz — 127.
Krzyżanowski — 89, 90, 131, 132.
Laveaux — 8, 9, 10, 28, 63.
Lepiarz — 89, 126.
Leśniewski — 113, 119.
Lipczyński — 5, 8.
Lipiński Jerzy — 119.
Liwacz — 89, 98, 126.
Ludendorf — 83.
Łodziński — 38.
Mackenzen — 83.
Makowiecki — 11.
Majewski — 39.
Mączyński — 23, 111, 113.
Merunowicz — 9, 12, 17.
Mond — 36, 48, 49, 53, 54, 56, 58, 62, 63, 64, 66, 70, 71, 72, 74, 76,
78, 80, 88, 96, 100, 107, 113, 140, 141.
Muzyka — 115, 132.
Münnich — 75.
Neumark — 130, 132, 144.
Olszewski — 40, 55, 63, 80.
Pieracki — 39.
Piłsudski — 6, 83, 84, 111.
Piskorz — 102, 104, 115.
Potęcki — 111.
Roja — 7, 145.
Rozwadowski — 113.
Rydz-Śmigły — 6, 145.

Sawicki — 129.
Schromm — 27.
Stachiewicz — 7.
Świtalski — 49, 63, 80, 107.
Tomicki — 57, 58, 59.
Trzeźniowski-Tatar — 17, 21, 34
Wiśniowski — 118.
Znamierowski — 134, 135.
Zimmermann — 88.
Zwierzyński — 85.

TEGOŻ AUTORA.

Szlakiem I Brygady (Dziennik żołnierski). Wydanie drugie. Warszawa 1928.

Od Wilna po Dynaburg (Wspomnienia z walk 5 p. p. Leg.) Wydanie drugie. Warszawa 1930.

Wojskowe formacje polskie w wojnie światowej. (Część II wydawn. „Dziesięciolecie odrodzenia polskiej siły zbrojnej”) Warszawa 1928. Wyczerpane.

Źródła do historii najnowszej wojskowości polskiej (1908-1918). Wydanie drugie. Warszawa 1928.

Archiwa formacyj polskich z wojny światowej. Warszawa 1928.

Bajończycy i armja polska we Francji. Warszawa 1929. Wyczerpane.

Na przedpolu historii (szkice, recenzje, polemiki). Warszawa 1930.

Historja związku strzeleckiego. Warszawa 1930.

360, —

312727/82

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM 313723



000-313723-00-0

